

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



**Nr 139.**

Prenumerata w Warszawie  
Rocznie rsr. 8. półrocznie rsr. 4. kwartalnie rsr. 2  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 24 maja 1862 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:  
Rocznie rsr. 12. półrocznie rsr. 6. kwartalnie rsr. 3.  
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

**TOM V.**

## TREŚĆ NUMERU.

Dawne ubiory i uzbrojenia (drzeworyt) ciąg dalszy. — Kronika tygodniowa. — Ostatni książęta mazowieccy ciąg dalszy. — Zwaliska zamku w Iłży (z drzeworytem). — Krzyż kamienny w gubernii mohylowskiej (z drzeworytem). — Przegląd piśmienniczy. — Nie wszystko Niedźwiedziej (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Michał Sędziwój (ciąg dalszy). — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Dwa słowa (poezya). — Korrespondencya od redakcyi.

wet gwiazdy, jako pokrewne słońcu, są im wstrętne. Podróże lubią odbywać tylko po nocy, w dzień śpią albo wypoczywają.

Paracelsus powiedział więcej nawet, bo nie tylko ludzi, ale nawet narody rozdzielił na przyjaciół i nieprzyjaciół słońca.

Owóż wychodząc z tej zasady, nie wabamy się

twierdzić że mieszkańcy Warszawy są po większej części słonecznymi tylko ludźmi. Niech będzie jakkolwiek usposobienie miasta, niechaj pora nie sprzyja zabawom, ani zabawy porze, a słońce zaświeci, — już ruch na ulicach, już roi się ludność, już twarze uśmiechnięte, już rozpodżone czoła.

I chociaż znajdują bruk zamiast trawnika, ślize kamienne zamiast ścieżek kwiecistych, a wznoszące się wysoko mury zamiast drzew cień dających, nie to naszym lubownikom słońca nie przeszkadza. Wybiegają oni na ulice, tłoczą się, cisną, zaczepiają, szukają ogródków, gdzie zamiast drzew tyki, a dym fajczany miejsce woni kwiatów im zastępuje. I niejedyn który smucił się i troszczył na widok chmur zalegających horyzont i siedział zamknięty jak borsuk w jamie, ani słowa do nikogo nie przemawiając, powstaje wesole, kiedy słońce zajrzy mu do okna, szuka towarzystwa, lubuje się w nim i zacierając ręce, wykrzykuje owo dawne a niezapomniane jeszcze: „będzie to jakoś“, które u przodków naszych w każdej okoliczności, smutnej czy wesolej, znajdowało swoje zastosowanie.

Tatarzy grasowali po kraju: „będzie to jakoś“ mówili ci których kłeska nie dotknęła, „będzie to jakoś“ powtarzali nawet tacy, co musieli uciekać przed dżiczą.

Kraj ubożał po wojnach, urodzaje nie dopisywały, zaraza pustoszyła najludniejsze okolice, po gościńcach ludzie marli z głodu; jak taki rozgrzał się na słońcu, wypił ostatnią szklankę z ostatniego dzbana, uderzył w stół pięścią i... „będzie to jakoś“ zawołał, wierząc w przyszłość i spodziewając się lepszej.

Groźne obłoki ze wszech stron gromadziły się nad miłą ojczyzną; nieład i rozterki wewnątrz, zewnątrz niebezpieczeństwo, wsząd znaki złowroczne; „jakoś to będzie“, mówiono jednak i bawiono się ostatkami dni pogodnych.

I było, ale jak?

A nie dla wymówki żadnej o tém wspominaliśmy. Co było to być musiało, nie zwrócić wody upłynionej, ani minionych już dni; ale to „jakoś będzie“ wyświeca nam jasno usposobienie ogółu narodu naszego. Jest w nim dużo miłości, dużo wiary i zaufania w wyroki Opatrzności.

Jest w narodzie naszym poezya przyszłości. Ależ naród nie tylko z poetów składać się powinien.

Patrzę przez okno na słońce, i mimo chmur groźnych powtarzam z innymi: „jakoś to będzie.“ Ale jak?

To „jak?“ dużo bardzo od nas samych zależy.

## Kronika tygodniowa.

Philippus Aureolus Paracelsus Theophrastus Bombastus von Hohenheim utrzymywał, że ogół ludzi żyjących na ziemi dzieli się na dwa główne gatunki: na ludzi słonecznych i pochmurnych.

Jakkolwiek nie wszystkie twierdzenia boskiego doktora (tak uczniowie nazywali Paracelsa) zasługują na bezwarunkową wiarę, dowodem czego przyrządzenie w tygielku małego człowieczka (homunculus), które Paracelsus uznaje za bezwarunkowy pewnik, a które nam się wydaje trochę nieprawdopodobnym, jednakowoż podzielił jego ludzi dość nam przypada do przekonania.

I w istocie, czyście sami tego na sobie nie doświadczycy, czytelnicy, czyście się nie przekonali na drugich, że usposobienie nie tylko fizyczne, ale i moralne zmienia się według stanu powietrza?

Są tacy, którym pogoda, słońce konieczne są potrzebne do życia, do oddychania w pełni. Każda chmurka jest dla nich plagą, dęszcz zabójstwem. Promień słońca wchodzący do ich pokoju, ukrzepia im ciało i rozjaśnia myśli. Żyją w świetle i dla światła tylko, jak owe roje atomów, co poruszają się myriadami w promieniu światła przez wąską szczelinę do ciemnego pokoju wpuszczonym. Na twarzy ich pogoda, dusza promienieje. Przy słońcu zdolni są do dobrych i pięknych rzeczy, do wielkich poświęceń, do silnej miłości. Wszystko im się wydaje wówczas piękne i dobre, przeszłość się uśmiecha, przyszłość rozchmurza, terażniejszość żyje: myślą, czują, kochają.

Dla innych znowu słońce jest wrogiem. Zdaje się prawdziwie że lękają się go. Za jasno im na Bożym świecie przy tej lampie promiennej, którą Bóg dla nas rozpalil w przestrzeni.

Więc w dniu pochmurne zaczyna się prawdziwe życie dla nich. Plusk dęszczy ich rozwesela, mgła orzeźwia, wilgotne powietrze ułatwia im oddech. Jeżeli ciągła służy pogoda, czekają wieczoru jak zbawienia; bo zaczynają żyć przy lampie tylko, kiedy zapuszczą rolety i ani kawałka już pogodnego nieba nie widzą przed sobą; bo na-

## DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).



Nr. 22

Wiek XIV. Wódz w stroju podróżnym. (Rysunek wzięty z legendy o św. Jadwidze).

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jedna z korespondentek moich, panna M\*\*, żąda koniecznie, abym jej wytłumaczył mistyczne znaczenie wypadku o jakim mi rozpowiada. Nie śmiem odmówić jej żądaniu; więc za odpowiedź niech jej posłuży rozmowa jaka miała miejsce dwa tysiące lat temu w Rzymie.

Panna M\*\* wie zapewne kto to był Kato starszy.

Owóż ten Kato wielką miał sławę mądrości i cnoty pomiędzy swoimi współobywatelami, niekoniecznie dlatego że w każdej mowie mianiej publicznie powtarzał wnioski o zburzenie Kartaginy, bo bez tego zburzenia Rzym mógł się obyć bezpiecznie, zwłaszcza że we dwa wieki później sam musiał odbudować punickie miasto, ale dlatego, że życie całe tego cnotliwego Rzymianina odpowiadało jego słowom.

Więc do Katona mnóstwo osób przychodziło po radę, wielkich czy małych, bogatych czy ubogich. Kraj się go radził w rzeczach publicznych, obywatele w prywatnych. A niezawsze z nim łatwa była sprawa, bo na Katona ani deszcz, ani słońce nie działało; on najczęściej w złym był humorze, nieraz się oburkał, a bardzo natrętnego, to i kijem przetrzepać umiał.

Otóż do tego Katona przyszedł raz pewien Kampanczyk po radę.

— Powiedz mi, rzekł, jaką wróżbę mam wyciągnąć z wypadku który miał u mnie miejsce niedawno? Przez całą noc myszy gryzły mi obuwie. Lękam się czy to nie zły prognostyk dla mnie.

— Hm! odrzekł Kato, gdyby obuwie twoje zjadło myszy, wtedy mógłbyś się lękać o siebie; ale ponieważ stało się przeciwnie, możesz spać spokojnie.

Niechajże panna M\*\* przyjmie odpowiedź mędrca rzymskiego w miejsce tej, której ja dać jej nie umiem.

Z Kielc donoszą nam o serdecznym przyjęciu jakiego doznały w tym mieście siostry miłosierdzia, które po pierwszy raz obrały tam sobie stałe siedzisko. Mieszkańcy Kielc z prawdziwą czcią powitali u siebie pobożne niewiasty, których powołaniem jest służyć ludzkości najpiękniejszą modlitwą, bo *modlitwą czynu*. Instytucja siostr miłosierdzia należy do tych właśnie, które są ozdobą krajów chrześcijańskich, stanowią rzeczywistość ich wyższość w rozwoju ludzkości i są najpiękniejszym wcieleniem słowa Bożego.

W Kielcach także miały niedawno miejsce wybory na radców Towarzystwa Kredytowego. Zjazd był tak liczny, jak nie pamiętają od lat kilkunastu. Wyborów z wielką oględnością dokonano. Jak z jednej strony z całą powagą zastanawiano się nad opiniami, tak z drugiej szlachetnym ocenieniem zasług już położonych na drodze pracy dla ogółu, potrafiło znieść wyroki może zbyt pośpiesznie, zbyt gorączkowo, choć niewątpliwie w uczciwym celu na niektórych wydane. Takiem postępowaniem pragniono dowieść, że każdy krok publiczny zostaje pod ścisłą strażą opinii, że usługi na polu obywatelskim nie są lekceważone, lecz owszem mają przewagę nad wszelką osobistą a wsteczną dążnością.

Na tym zebraniu i Towarzystwo poznańskie *Tellus* znalazło serdeczne poparcie. Podczas wyborów znaczna liczba osób zapisywała się na akcje, a mamy nadzieję że reszta obywateli będzie umiała korzystać z dobrego przykładu jaki im dali nie najzamożniejsi podobno. Gorliwość obywatela zajmującego się w tamtejszych stronach sprawą *Tellusa*, nie pozwala wątpić o pomyslnym rezultacie.

O fantowej loteryi, która po wyborach miała miejsce, wspominamy tylko że się bardzo dobrze udała i spory przyniosła dochód.

Inny korespondent żąda żebyśmy poparli rzuconą w jednym z pism tutejszych myśl zaprowadzenia po wsiach łaźni dla ludu. Twierdzi on że tylko w ten sposób udałoby się może odwieść lud nasz od szkodliwego, a niestety zbyt upowszechnionego po wsiach zwyczaju puszczania krwi. Przy nałogowym niechlujstwie naszego włościanina, łaźnia pod względem porządku byłaby dobrą, pod względem zaś higienicznym ważne przyniesłaby korzyści. Korespondent twierdzi, i nie bez słuszności, że nadużywanie puszczania krwi jest może nawet szkodliwszym dla ludu od zbytowego używania wódki; bo włościanin, cokolwiek go zaboli: ramię, krzyż, piersi, bok, puszcza zaraz krew, a są to przypadłości po większej części reumatycznej natury, na które właśnie łaźnia byłaby pomocną. Trudno wierzyć, ile pokątni cyrulicy wytoczą corocznie krwi z ludu naszego. Rzadko gdzie znajdzie się chłop, któryby choć kilka razy przynajmniej w życiu krwi nie puszczał. Nie potrzeba dowodzić jak szkodliwie to wpływa na zdrowie ludności wiejskiej, i należałoby wszelkimi siłami zapobiegać temu zgubnemu nadużyciu. Wiadomo nam że w miejscach gdzie dwory gorliwie się zajmują stanem zdrowia włościan, gdzie pan, a zwłaszcza pani, posiadają zaufanie gromady, która przychodzi do nich zasięgać rady i żądać pomocy, samowolne puszczanie krwi

daleko się rzadziej wydarza. I tu więc znowu, jak wszędzie i zawsze, dochodzimy do wynikłości, że zbliżenie się panów z włościanami pożądanym jest i pożytecznym dla jednych i dla drugich.

Pewien dzierżawca, obarczony dziećmi, stracił z przyczyny pożaru całą oborę, śpichrz i wszelki dobytek. Nie mając innego środka ratunku, (było to w okolicach gdzie ubezpieczenie od ognia jest prawie jeszcze nieznanym), udaje się on do milionowego sąsiada.

— Szanowny panie, rzekł stanawszy przed nim. Bóg mnie ciężką obarczył klęską. Mienie moje całe pożarły płomienie. Poszedłbym pracą rąk zarabiać na kawałek chleba, ale żona, ale pięcioro dzieci umrą tymczasem z głodu. Dzierżawa za lat kilka zapłacona z góry; gdyby mi szanowny pan chciał pożyczyć 20,000 złp., oddałbym mu je za lat trzy z procentem, a kilka istot uratowanych od nędzy wzniosą modły dziękczynne za zdrowie i powodzenie szanownego pana.

— Mam pieniądze i dalbym chętnie, odpowiedział szanowny(!) pan, lecz nie mogę się sprzeciwić woli Bożej. Bóg, jak sam pan powiadasz, dotknął cię tym nieszczęściem, więc widać zasłużyłeś na to, i niech się stanie wola Jego święta! Dając ci pieniądze, stawałbym na przeszkodzie wyrokowi Opatrzności. Przebac więc, bo jak sam widzisz, pieniędzy ci dać nie mogę i nie dam.

Autentyczność tego faktu mamy zaręczoną.

A teraz opowiem wam o dziwnym weselu.

W pewnym prowincjonalnym mieście mieszka kupiec, który oszczędnością i pracą doszedł do znacznego bardzo majątku. Na miliony liczą jego mienie. Dzieciom swoim dał bardzo staranne wychowanie, a kiedy syn najstarszy przyszedł do lat dojrzałych, radził mu żeby wziął żonę równą sobie stanem, którąby mógł uszczęśliwić i którąby mu nigdy niższości pochodzenia nie wymawiała.

Ale nie stało się według życzeń ojca. Syn pokochał się w pannie wysokiej bardzo kolligacji, lecz miernego majątku. Pieniądze łamią wszelkie przeszkody; wkrótce więc małżeństwo zostało ułożone.

Naręczony pragnął żeby rodzice jego ukochanej ani groza nie wydali na oporządzenie domowe, i sam się zajął wyprawą. Wydatki na ten cel podjęte wyniosły przeszło 250,000 złp. Jedna salopa z futrem kosztowała 66,000 złp.; reszta w tym samym stosunku. W wigilią ślubu uszczęśliwiony Rotszyldowicz wręczył swojej ukochanej wesele na 200,000 zł.

Ślub się odbył wspaniale, wesele także. Na mieszkanie państwa młodych przygotowany był obszerny dom, pałac prawie, umeblowany z wszelkim przepychem i wykwintnością. Ale zaraz po weselu panna młoda znikła. Naprótno jej szukano, nie było jej nigdzie. Jak słyhać powtórzyła się tutaj w treści ballada *Odyńca* „Wesele“, tylko miejsce starosty zastąpił syn kupca milionera. Jakie czasy tacy ludzie. *Tempora mutantur et nos mutamus in illis*. Zdaje się tylko że tym razem zamiast walki na ostre, wystąpi na stół proces rozwodowy. Jeszcze jedna nauka więcej dla ludzi szukających związków tego rodzaju. Czy będzie komu na korzyść? wątpliwe.

Jeden z korespondentów naszych donosi nam, że w przejeździe przez pewną okolicę spotkał wieś, w której na 119 dymów istnieje już 5 karczem, a szóstą się buduje. Wprawdzie ta karczma stoi trochę opodal, blisko o wiorstę za wsią, ale żeby napoje spirytusowe nie marnowały się, postawiono obok niej kilka chałup i zaludniono je zaraz.

Moralność też w tej wsi odpowiada w zupełności wysokiemu stanowisku na jakim stoi propinacya. Opilstwo jest tam w pełnym rozwoju. Korespondent nasz widział jak jeden włościanin tamtejszy, którego nazwisko nam cytuję, najmował własnego ojca do rąbania drzewa, dając mu złotówkę i trzy kwaterki wódki zapłaty dziennie.

Na przeciwstawienie temu obrazowi powiemy, że goszcząc przez pewien czas w dobrach w bliskości Warszawy położonych, zaszliśmy przypadkiem do gorzelni. Tam zastaliśmy dość liczne zgromadzenie włościan, nie tylko parobków, ale i gospodarzy. I zgadnijcie po co oni się tam zbierali. Może myślicie że po wódkę? Gdzież znowu. Pomocnik gorzelanego, chłop młody i dorodny, umiejący czytać i pisać, miał tam prelekcję. Na wielkiej czarnej tablicy drewnianej, pisał litery i cyfry, wykładał czytanie i początki arytmetyki, wedle zdolności i stopnia usposobienia słuchaczy. Czytał im także historią świętą i polską, oraz inne książki dla użytku włościan wydawane. A najgodniejszym jest uwagi, że nikt go do tego nie skłaniał, on sam wypadł na tę myśl zbawienną i sam jej dokonał o własnych siłach. We wsi tej istnieje szkołka, w której się dzieci uczą, włościanin więc powiedział sobie że wstyd aby dzieci więcej umiały od rodziców. Namówił panów starszych, postarano się o tabli-

cę i książki, i prelekcje rozpoczęły się. U zakrystyana więc szkołka, a w gorzelnii akademii. Czegoż brak? Niezadługo w całej wsi nie znajdzie ani jednego chłopca któryby czytać nie umiał.

Czytelnicy nasi przypominają sobie może szczegółly jakie podaliśmy w jednej z przeszłych kronik o panu Kielmanie, szlachetnym i dobroczynnym Izraelicie mieszkającym w Krzemieńcu. Otóż z tego samego miastka donosi nam korespondent, że tam kaznodzieja z ambony, pociągnięty zapalem kazania, wzmiankował o „judaizmie, odwiecznym wrogu chrystyanizmu.“ Sądymy że nigdzie i w żadnym razie rozsiewanie nienawiści nie może być zadaniem kapłanów chrześcijańskich, a tym bardziej u nas, tym bardziej dziś, gdy pożądane zbliżenie nastąpiło, gdy ci którzyby przeciwko niemu działać pragnęli, czyniliby to z krzywdą narodu i przyszłości jego. Zresztą skoro w samym nawet Krzemieńcu nie brak na przykładach, że nie tylko Izraelici nie są wrogami chrześcijan, ale miłosierdzie chrześcijańskie umięją pojmować w najpiękniejszym jego znaczeniu, kaznodzieja ów powinien się być powstrzymać od zbytowego ferworu zatraconych już na szczęście idei.

Niejednokrotnie u nas dawały się słyszeć uzalania nad coraz więcej gasnącem pokoleniem owych dawnych służących, co to od dzieciństwa przywiązani do swoich panów, do rodziny ich prawie należeli, jedność z nią stanowiąc. Rzadko kiedy, rzadko gdzie w dzisiejszych pokoleniach napotkać można przykłady takiego nie mówię już przywiązania, ale poświęcenia się, jakiego dawniejsi służący wielokrotnie dawali wody.

A może najpiękniejsze typy tego rodzaju spotykają się pomiędzy dawnymi żołnierzami byłego wojska polskiego, służącymi u dawnych komendantów swoich. Jednemu z naszych korespondentów zdarzyła się świeżo sposobność napotkania takiego szczątka lepszych czasów.

Parę dni temu, pisze on, byłem o kilka mil za Warszawą, u starego generała b. w. p. Ma on jeszcze dotychczas w służbie żołnierza z pułku którym niedługo dowodził.

Wypadało poprosić z sąsiedztwa jakiegoś obywatela. Generał przypomina to sobie i paląc fajkę woła:

— Wojciechu!

— Słucham jaśnie pana.

— Pojedziesz do tego i poprosisz go żeby przyjechał.

— Dobrze jaśnie panie.

— Zaprzęzesz tego i tamtego.

— Dobrze jaśnie panie. A temu posmarować?

— Można.

Myślę sobie w duszy: ciekawa rzecz jak się wiarus sprawi, czy za tego nie przywiezie tamtego, czy nie zaprzęże innego, a nie posmaruje owego. Pytać nie wypadało, bo generał czytał gazety, a jak czyta gazety, to ten tego tamtego przerywać nie można.

Wojtek pojechał, generał się zdrzemnął, a ja sobie poszedłem na drugą stronę, do pokoju wnuczka generalskiego.

— Mój Julku, pytam się, czy Wojtek się dobrze sprawi, bo dziadzio kazał mu przywieźć tego, zaprzędz tamtego i tego, a nic więcej nie objaśnił. Łatwo więc Wojtek może się omylić i będzie gniew.

— Mogę ci zaręczyć że nie. Wszakże Wojciech od lat kilkunastu innych objaśnień nie dostaje od dziadzi, a wszystko najdoskonalej rozumie. I tak z rana dziadzio woła: „Wojciechu! a jest?“ to znaczy czy już zastawiona kawa. „Wojciechu, a jakże?“ To znaczy co się dzieje w oborze, w stodole, w stajni i tam dalej...

— Zgadnam się na to, ale jakże on może zrozumieć co ma znaczyć: „Przywieź mi tego.“

— A to łatwo zrozumieć. Kiedy dziadzio chce żeby mu przywiózł p. Z\*\*, to mówi: „Niech on się tam przywlecze.“ Gdy idzie o dostawienie pana K\*, brzmi rozkaz: „Przywieź go tu natychmiast.“ Jeżeli o pana W\*\*, Wojciech dostaje polecenie: „Przywieź mi tego.“ Jednym słowem każdy sąsiad inaczej się nazywa, ten tego, tamtego...

Dajcież teraz takiemu generałowi nowego sługę: pan będzie niekontent, sługa ogłupieje i rozkazy się pokrzyżują. A stary wiarus zna każdy gest pana swojego.

Dlatego też godzi się starego sługę szanować, a młodego tak przywiązywać do siebie, aby pokochał dom swojego pana, a gdy się przywiąże, to od tego nie pójdzie do tamtego, a ten i tamten zadowolony będzie i miło będzie patrzeć na dwóch ludzi razem ze sobą starzejących się.

Zwróćmy się teraz na bruk warszawski, bo wszak i śmieszności w przelocie zebrane wchodzą także w mój zakres sprawozdawczy.

Pewien mój znajomy dostał polecenie zakupienia pieczątki z literą P. Idzie więc do handlu galanteryjnego i prosi o taką pieczętkę. Kupcowa wyjmując wielkie pudło, i po kilkunastominutowym szukaniu wręcza mu żadaną pieczętkę.

— Ale tu jest litera N, a ja P. żądałem.

— Ach prawda! przepraszam pana, mimowolna pomyłka.

I zaczyna się dalsze poszukiwanie.

— Oto jest, rzecz po chwili tryumfalnie kupcowa.

— Jest, ale nie P, tylko S. Chyba pani nie masz takiej pieczątki, jakiej sobie życzę.

— Jakto nie mam? u mnie wszystko się znajduje. Niech pan pozwoli.

Po jakimś czasie znowu inna litera.

— Znajomy mój, zaczynając już powątpiewać o umiejętności alfabetycznej kupcowej, prosi żeby mu samemu poszukać pozwoliła i przekonywa się nareszcie że litera P. wcale tam niema.

— To nic nie szkodzi, rzecz uparta kupcowa, mam tu literę X przesłownie wyrobioną, a ostatnią już tego gatunku. Co to panu szkodzi? weź ją pan. P. czy X, zawsze przecież litera.

Doskonałe pojęcie handlu, który w znaczeniu jakiego wielu nadaje zależy na tém, żeby wetknąć ludzkiom to, czego im nie potrzeba.

Za autentyczność ręczymy.

Wiele osób wyjechało już ztąd na wystawę londyńską, a niemało wybiera się jeszcze. Podobno jednak nie zyskają ci, którzy zabardzo się pośpieszą; bo pominąwszy że początkowa opłata droższą jest aniżeli późniejsza, niewszyskie części wystawy są już gotowe do obejrzenia, wielu przemysłowców zagranicznych spóźniło się i dotychczas mnóstwo przedmiotów leży jeszcze nierozpakowanych. Więc kto się spóźni, ten wygra podwójnie: zobaczy wystawę całkowicie już gotową i tanię zapłaci.

Podczas kiedy my gości naszych wysyłamy do Anglii, Anglia nam się wywzajemnia; bawi bowiem obecnie w Warszawie sławny Ira Aldridge, którego odznaczającą się grą w tragediach, a mianowicie w Otelu, od tak dawna już podziwia Europa. Jest on potomkiem królewskiej murzyńskiej rodziny, wychowany i wykształcony w Anglii. Na przedstawieniach dawanych przez niego w Niemczech, damy mdlały; więc musi być ogromną potęgą gry jego, kiedy w obecnej nawet mowie tak silnie sprawia wrażenie.

## Ostatni książęta Mazowiercy.

(Dalszy ciąg).

### II.

Na mocy dekretu króla Zygmunta I z d. 12 maja 1518 r. książę Stanisław objął rządy Mazowsza. (1). Świeżym odznaczal się przymiotami: skromność łączył z znakomitemi zdolnościami umysłowymi i niezwykłym mężstwem. Kiedy siostra jego Zofia poślubiona została Aloizemu Pechri magnatowi węgierskiemu, odprowadził ją z licznym poczetem panów mazowieckich do Węgier. Poprzednio starał się o jej rękę Bertold hrabia z Hennebergu, spokrewniony z domem brandeburskim. Za jego pośrednictwem rozpoczęły się układy, gdy książę Stanisław miał pojąć w małżeństwo siostrę wielkiego mistrza krzyżackiego Alberta, który gorąco życząc sobie tego związku, dla ustalenia przyjaźni z domem panującym w Mazowszu, wysłał już nawet w tym celu pełnomocników swoich do Warszawy.

Król Zygmunt I stawiał tym zamiarom silny opór, obrażony na wielkiego mistrza, że mu holdu złożyć nie chciał. Przyszło do wojny, w której książęta mazowieccy musieli pomagać królowi.

Walka ta, nierozważnie spowodowana przez mistrza krzyżackiego Alberta, stała się powodem ciężkich klęsk dla ziemi pruskiej.

Książę Stanisław, na czele hufców dzielnych Mazurów, gromił przeważnie chorągwie krzyżackie i znakomite odniósł zwycięstwo nad rzeczką Pissą, gdzie tysiąc jazdy w ciężkiej zbroi i tysiąc piechoty niemieckiej rozbił i pokonał. Zdobył zarazem trzy ich warowne grody nad granicą Mazowsza położone: Neidenburg, Licha i Kryski.

Krzyżacy podwakość zemstą podnieceni, wpadli do księstwa mazowieckiego: raz, pod wodzą Dietricha von Schlieben i Maurycego Knebel, dwa miasta i dwie wsie w części zrabowali, w części spalili; drugi raz napad drogo opłacili. Mazury bowiem, pod dowódz-

twem Mikołaja Goślickiego herbu Grzymała, w pobliżu Płocka pod Proboszczewicami rozbili najezdniczków chorągwie, zadawszy im srogą klęskę.

Wielki mistrz, zwyciężony na każdym polu bitwy, patrząc na straszne spustoszenie Prus krzyżackich jakie zrzadzili posiłkujący Polaków Tatarzy, którzy ogniem i mieczem znaczący ślady swego przejścia, w perzynę wszystko obrócili, uderzył w pokorę. W r. 1521 został zawarty rozejm między wielkim mistrzem krzyżackim a królem Zygmuntem i książętami mazowieckimi Stanisławem i Januszem na lat cztery,—w r. 1525 pokojem utwierdzony.

Książę Stanisław w czasie krótkich swych rządów, okazał wielką dbałość o pomyślność Mazowsza. Oceniając ważność miast, w r. 1523, w miejscu wsi Cisiek, założył miasto, które od imienia swego nazwał Stanisławowem. Umarł dnia 8 sierpnia 1524 roku w Warszawie, w dwudziestym czwartym roku życia. „Skromny i obyczajny pan (pisze Święcicki), niemniej rycerski i waleczny.“

Brata i następcy jego Janusza II krótko trwał panowanie, bo tylko ośmnaście miesięcy. Upamiętnił swe imię dwoma statutami surowymi, z których jeden przeciwko kacerzom, drugi przeciwko mężobójcom.

Janusz, lubo podobny do Stanisława, w sile ciała o wiele go przewyższał. „Nikt (pisze Święcicki) zrzędniej nie wyrzucił ogromnego kołu lub kamienia, nikt łatwiej grubego sznura nie zrywał, lub podkopy nie łamał, nikt silniej łuku nie naciągał. Powiadają że miał podwójną kość pacierzową; piersi szerokiej i baczysty, na podobieństwo starożytnych bohaterów, twarzy przyjemnej, którą nieco nos zakrzywiony i splaszczony szpecił.“

Umarł na suchoty w r. 1526, licząc lat 24 wieku, podobnie jak brat starszy Stanisław.

Bernard Wapowski, świadek współczesny mówi:

„Różne przyczyny śmierci tych książąt powiadali być, jedni przez truciznę, drudzy przez opilstwo, a to podobniejsze k'temu, bom to swém okiem widział, będąc tam z Jeronimem Okonim jednym czasu, gdy Ojrzanowski biskup miedzelecki, Koziński wojewódzic ochotnie za zdrowie książęce trunek zmieszawszy z muszkatalem, kazali sobie lejem w gębę lać po wielkiej szklenicy aż do dna, w Warszawie przed jego oczyma. Książę Janusz, aby im też tak wiele przyjaźni ukazał po sobie, także sobie kazał uczynić. Nie doszło dwóch niedziel, aż wszyscy pomarli, okrom wojewodzicia. Przetom tu napisał (dodaje w końcu Wapowski), aby się tego przełożeni, którym to nie przystoi, chronili.“

Tak prędki zgon dwóch braci zgasyłych w kwiecie wieku, w rozżalonych Mazurach wzbudził silne podejrzenie, że śmierć ich musiała być tajną ręką przyspieszoną.

„Żaden naród (mówi Święcicki) z większą rozpaczą straty panów swoich nie żałował. Dziwna rzecz że ciż sami, co niedawno Konradowi II, książęciu doświadczonej roztrępaności, niechętnie podlegali, tyle miłowali synów jego. Zaprawde, książęta ci łagodnością, wielkomyślnością i ową przyjemnością, która serca ludzi mocno ujmuje, przechodzili ojca swego, surowego z natury. Przydawało żalu sieroctwo narodu po stracie rodziny, która więcej niż cztery wieki panując w Mazowszu, wyginęła zupełnie, z wygaśnięciem płci mężkiej.“

„Po śmierci Janusza (pisze B. Wapowski) szlachta mazowiecka winowała panią Radziejowską, jakoby ona miała być przyczyną jego śmierci. Aby była nie w królestwie osiadła, pomściliby byli onę z tém, czego niewinna była, bo mu w tém żaden winien nie był, jako sam sobie, pijąc bez miary. Upiekli potem piekarzę z Krakowa i Kliczewską ziemiankę. Niebożęta! mękę okrutną na nie wymyślono. Przed Warszawą, na com patrzył, gdy wkopali w ziemię słup, do którego obiedwie na łańcuszkach długich uwiązali, każdą na swoim łańcuszku nago, opak ręce związawszy, a około nich nakładłszy dREW zapalili. Piekiły się około onego ognia, jako pieczenie, na cztery godziny niżli pomarli, biegając około słupa, narzekając, kłając zębami jedna drugą. Niesłychana męka. Potem też i Jordanowskiego święto. Jakuba powinczego na kościele u bernardynów dobywano i wiele innych ludzi potracono, a snadź niewinnie, dla tych książąt.“

Ważnym jest ustęp któryśmy przywiedli z Wapowskiego, jako naoczego świadka, że nie trucizna, ale zbytek i nieumiarkowanie w życiu przyspieszyły zgon książęciu Januszowi,—lubo i przeciwnych temu świadectw współczesnych nie braknie. Winniśmy tu przytoczyć całą opowieść jaka uchodziła za szczerą prawdę u szolczenych Mazurów, a która pobudzała ich do krwawej i okrutnej zemsty nad tymi, co ściągali na siebie podejrzenie. Liczne były ofiary, jak żal był wielki całego Mazowsza.

W zbiorze rękopisów Adama Naruszewicza, przechowywanym dotąd w archiwum głównym metryk koronnych, jest współczesny opis zgonu ostatnich książąt mazowieckich. Podamy go w treści.

Na dworze panującej księżny Anny, była Katarzyna Radziejowska, córka wojewody rawskiego. Że była piękną i zalotną, pokochał ją książę Stanisław; ale matka jego Anna potrafiła ją ohydzić synowi. Z kolei książę Janusz uległ władzy jej wdzięków i często nawidzać ją począł w Radziejowicach, gdy z dworu warszawskiego usunięta została.

Katarzyna, przywabiwszy go do siebie czarami, a obawiając się wpływu przeważnego jego matki, podaną trucizną przyspieszyła zgon księżnie Annie. Pragnąc zostać księżną mazowiecką, przemysliwała jakby otruci księcia Stanisława, lękając się aby od niej nie odwiódł brata Janusza.

„Trafiło się (mówi rękopis) iż Janusz zaprosił Stanisława na wieczerę do Błonia, i tam godując podochocili sobie, a wojewodzianka Katarzyna bawiła z nimi. Wszakże nie mogła swego zamiaru dokonać w czasie wieczornym; ale nazajutrz prosila księcia, iżby spoczął nimby wyjechał, „lepiej będzie odbywać podróże waszej książęcej mości podjadłszy cokolwiek, a ja wam sama kapłona upiekę własnymi rękami.“

„Książę Stanisław przystał na jej radę. Ta kazała kucharzowi swemu Piotrowi Targowskiemu upiec kapłona; ale tak napoju jak i pieczystego nie zatrula, gdyż więcej ofiar padło, a ona pragnęła samego Stanisława usmiercić. Kazała więc innego kapłona upiec, a przyniosłszy go i zastawiwszy przed Stanisławem, rzekła:

— Mój panie! naleję octu z małmazji, aby wam lepiej smakował. I wyspała do niego trucizny.

„Książę Stanisław, nieochoczy do jadła, małą łyżkę zjadł. Natychmiast zaczął chorować i udał się do Mazowsza. Doktorzy nie mogli w żaden go sposób wyleczyć i nie mogli rozpoznać przyczyny śmierci.“

Janusz, coraz więcej miłując Katarzynę, na jej prośbę przyrzekł że jej daruje miasto Błonie. Siostra Janusza, księżniczka Anna, dowiedziawszy się o tém, korzystała z czasu kiedy książę był w dobrym humorze, i wraz z panami mazowieckimi tyle prosiła, że jej Błonie podarował. Katarzyna, rozgniewana na Janusza, postanowiła trucizną go zgubić, i w tym celu nasadziła dwóch łotrów, których swoim wpływem umieściła na dworze książęcym. Jeden Piotr był pułkarskim, drugi Maciej muzyk i doktor zarazem. Ci poddali księciu Januszowi truciznę, z której umarł, za co przez Katarzynę wynagrodzeni zostali tylko dziesięć kopami i dwoma bochenkami chleba. Obaj później straceni zostali.(2)

Cała ta opowieść zdrowej nie wytrzyma krytyki. Jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że Katarzyna wojewodzianka rawska wabiła obu młodych książąt do siebie i że obaj byli wielbicielemi jej urody i zalotności, ale czarami jakich używała były jej wdziękami. Lubo zostawała w podejrzeniu że trucizną sprzątnęła obu książąt, współczesny Bernard Wapowski oczyścił ją z tego zarzutu, a o przyspieszeniu zgonu matce jej księżnie Annie, żadne inne nie wspominają pomniki, jak tylko jeden ten rękopis.

Rozbolił Mazury wygaśnięciem tak nagłym drogiego szczepu Piastów, a razem ztratą niepodległości księstwa, chętne dawali posłuch każdej wieści, która im objaśniła miała śmierć niespodzianą ukochanych książąt. Łatwo więc także uwierzono czarom.

Katarzyna byłaby padła ofiarą ich żalu i zemsty, gdyby nie obawa króla Zygmunta I, pod którego opieką jej ojciec i ziemia rawska zostawała.(3)

Każdą straszną ponieśli tylko dworscy i służba jej i książęca, w obronie których nikt stanąć nie śmiał, a męki i tortury wyciskały z nich żądane przez sędziów zeznania.

Pomieniony rękopis podaje nam ważną w tej mierze wiadomość. Jordanowski (inaczej zwany Jazdonowski) do winy sobie zarzuconej przyznać się nie chciał: „dopóki nie widział przyniesionego miecza ze słomą.“

Ten widok narzędzi męzarni nakłonił go że napisał wszystko o co był pomawiany, mając pewność że zginie od katowskiego miecza, bez męk poprzednich.

Zwłoki Janusza panowie mazowieccy nieopgrzebane trzymali, aż do przyjazdu Zygmunta I. Król ten z dworem swoim przybył z Gdańska do Warszawy d. 25 sierpnia 1526 roku i wspaniałym im pogrzeb wyprawil.

Pomawiano Katarzynę Radziejowską, że dlatego tru-

(2) Album Literackie. Warszawa 1848 r. t. I.

(3) Po śmierci obu książąt, poszła za mąż za Konrada Oborskiego. Znal ją osobiście Święcicki i nazywa ją (Topographia Masoviae) „dzisiejszą Konrada Oborskiego żoną, którą obmawiano, jakoby książętom jakąś zalotniczą zaprawę zadawała, dla rozniecenia miłości i trzymania ich w więzach swoich.“

(1) Dzieje w księstwie mazowieckim Hipolita Kownackiego. (Pamiętnik Warszawski 1820 r. t. XVII). Kronika Bernarda Wapowskiego. A. Święcicki, Topographia Masoviae. Acta Tomiciana. Album literackie 1848 r. F. Kozłowski: Dzieje Mazowsza za panowania książąt, Warsz. 1858 r.

cizną obu książąt sprzątnęła, ażeby przez to haniebną usługę królowi uczynić, ułatwiając mu i przyspieszając połączenie Mazowsza z Koroną.

Oburzony takimi wieściami, Świącicki wymownie broni od tego zarzutu Zygmunta I.

„Cóż może być niedorzeczniejszego (pisze), jak mniemać że Zigmunt, tak świętobliwy i sprawiedliwy pan, który ofiarowane sobie obszerne królestwa węgierskie, czeskie i duńskie, z wielką sławą swojej skromności odrzucił, żeby na zgładzenie niewinnych książąt zezwalał, dla zagarnienia niewielkiego dziedzictwa, z wieczną dla siebie ohydą!“

We dwa lata, gdy wieści o zgładzeniu trucizną książąt nie umilkły, król Zigmunt I wyrokiem swym: „z przyczyny pewnych zmysłań i osławiań niektórych szlachty księstwa mazowieckiego o życie książęce,“ wydanym dnia 9 lutego 1528 r. oznajmił: „że gdy rada Mazowsza żadnego prawnego dowodu, ani nawet prawdopodobnego znaku nie wniosła, a następnie nie znaleziono żadnego śladu gwałtownej i sztucznej śmierci samego niegdyś pana księcia Janusza, która rzeczywiście otwarcie nastąpiła i wyraźniejszą od światła południowego była,—ręczony pan książę Janusz, wszelkimi duchownymi sakramentami pobo-

na zgon Janusza, który w 48 miesięcy zgał po swym bracie. Zapewne już ucichły wieści o truciznie księciu Stanisławowi zadanej, kiedy król nie uczynił tu najbliższego o nich wspomnienia.

Siotra Anna wystawiła zmarłym braciom w kościele katedralnym świętego Jana w Warszawie okazały nagrobek, który dotąd istnieje. Wykuci w całej postaci, w pełnych zbrojach, spoczywają jakby w objęciach braterskich. Poniżej czytamy następny napis w języku łacińskim, którego przekład podajemy:

„Stanisław i Janusz, Konrada księcia mazowieckiego synowie, z dawnych królów pelskich i ostatni szczerp męzki książąt mazowieckich, od sześciuset lat aż dotychczas szczęśliwie panujących, młodzieńcy obydwaj odznaczający się największą zacnością i niewinnością, zgonem przedwczesnym i nieszczęsnym w niedługim przeciągu czasu po sobie, z wielkim wszystkich poddanych żalem, rozstali się z tym światem, Stanisław roku zbawienia 1524, wieku swego 24, Janusz zaś r. 1526, wieku 24, po których zgonie dziedzictwo i rządy całego Mazowsza przeszły na królów polskich,—Anna księżniczka braciom rodzonym w gorzkiej boleści i smutku wystawiła.“

Nad wykutymi postaciami książąt wznosi się sarko-

szy się na uroczą tutejszą okolicę, spadł z wieży przy padkiem i życie utracił. Pozostała matka tyle nad zgonem swego jedynaka łez wylała, iż na tę pamiątkę zamek *Jęz*, lub jak dotąd lud wymawia *I-lza* przezwano.

Byli tacy, co niezaspokojeni powagą tej legendy, usuwali ją napozór do prawdy podobnym wnioskiem, iż miano *Iłzy* nie od tego wypadku, lecz od gruntu ilastego ma pochodzić. Cóż kiedy posada miasta, a tém bardziej góry, są wapienne, tak zwane zaś *ily*, czyli ziemia barwy zielonej, czerwonej i żółtej, jakiej niekiedy stolarze miejscowi do malowania prostych swoich wyrobów używają, znajdują się nie tu, lecz o kilka wiorst dalej na granicy już wsi Sereźcie, nie w takiej ilości, aby mogły dać imię tej osadzie. Jeżeli zaś przez *il* rozumiał kto ową wyborną glinę, z której wyrabiają słynne od wieków garnki *ilżeczkie*, to chyba nie wiedział iż ją kopią nie na gruntach miasta, ale w lesie odległym o 5 wiorst ku Ostrowcowi.

I ten przeto drugi źródłosłów nie jest szczęśliwy. Nie potrzeba też wcale silić się na domysły, bo najprostszym powodem nazwiska jest płynące przy mieście jezioro *Iłza*, które bez żadnej wątpliwości miano



ZWALISKA ZAMKU W IŁŻY. (Rysował z natury Fabiański.)

źnie opatrzony, śmiercią naturalną zszedł i umarł; albowiem jako za życia co do otrucia i sztucznej śmierci tegoż pana księcia nic właściwie nie pokazało się, tak i w jego zmarłym ciele żadne bynajmniej nie pokazały się znaki zadanej sobie trucizny.“

Dla zasłonięcia zaś niewinnych ludzi i powstrzymania ciągłych przesładowań, król w tymże dekreście wyraża:

„Dlatego ogłosiliśmy i niniejszym edyktem ogłaszamy, stanowimy i oznajmujemy, że wszystkie doniesienia, oskarżenia, świadectwa o otruciu i śmierci sztucznej rzezonego pana księcia, jakim bądź sposobem i gdziekolwiek uczynione, były i są próżne, niedoleżne i żadnej siły ani wagi; jakiegokolwiek osobie lub osobom, jakiegokolwiek płci, stanu i powołania będącym, czci i dobrej sławie szkodzić nie będą mogły, gdyż, jak się wspomniało, widocznie okazało się, że pan książę nie sztuką ani sprawą ludzką, lecz z woli pana Boga wszechmogącego (w którego mocy rozrządzenie życia i śmierci) z tego zszedł świata i umarł.“

Rzecz godna uwagi, że w całym dekreście królewskim niema wzmianki o podejrzeniach otrucia księcia Stanisława. Wyłącznie Zigmunt I zwraca uwagę

fag na kolumnach z marmuru, pomiędzy którymi wyobrażenie Zbawiciela na krzyżu srebrne, na akşamie czerwonym z ramami srebrnymi.

Nagrobek ten znajduje się po lewej stronie wielkiego ołtarza.

(Dokończenie nastąpi).

### ZWALISKA ZAMKU W IŁŻY.

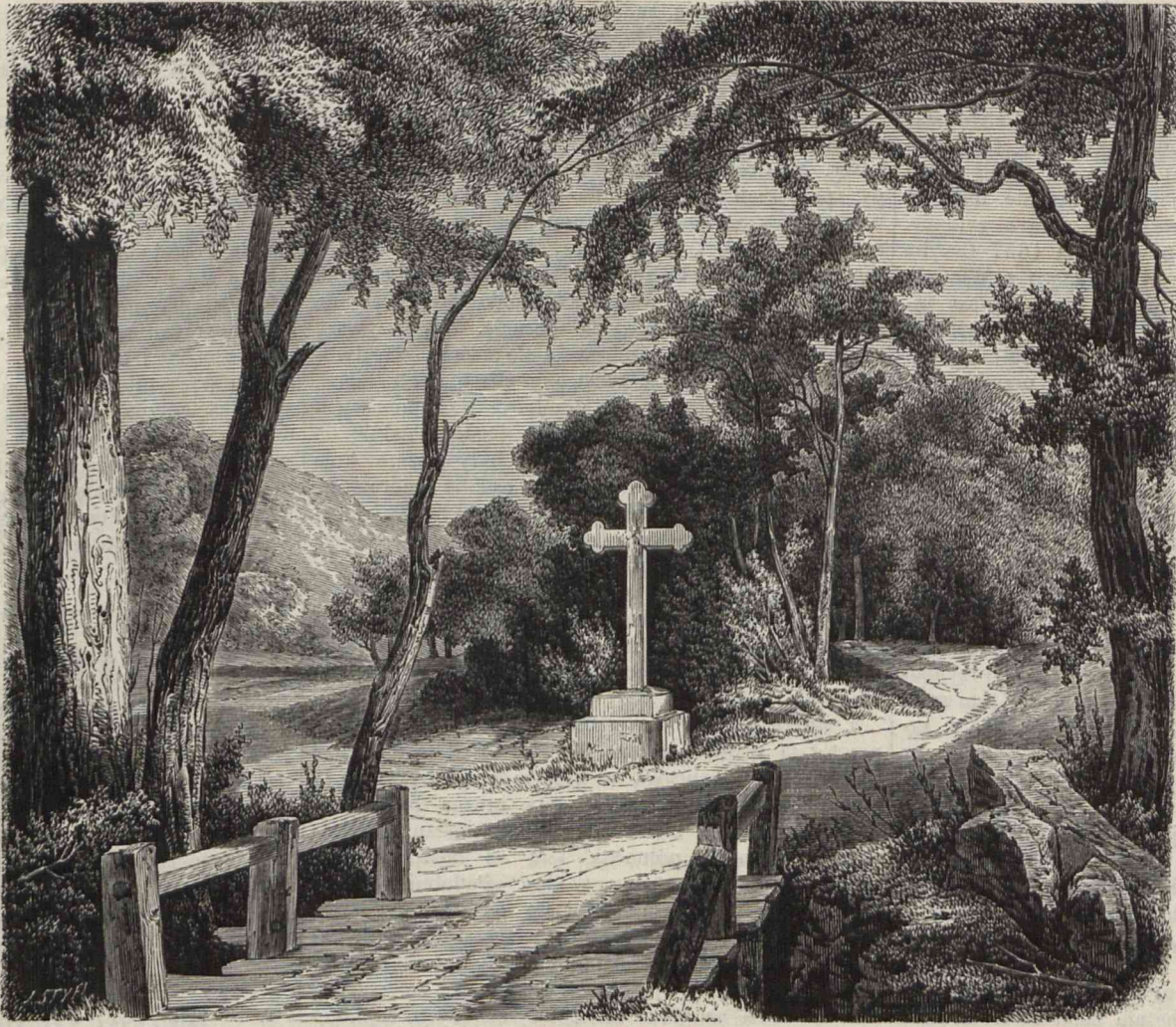
Wśród ciemnych obszernych lasów powiatu opatowskiego, na drodze do Solca wiodącej, sterczą z dala na górze pyszne zwaliska dawnego zamku, których wizerunek tu załączamy. A że u nas każdy stary zamek musi mieć podanie, które jak bluszcz lubi pięć się po ruinach, więc i ten ma swoje, a nawet bardzo rzewną legendę. Ale czy ona dalekich sięga czasów, czy też jest świętym utworem czcigodnej pamięci panny Tańskiej, która w swoich „Rozrywkach“ pierwsza ją spisała, jakoby z ust ludu podsłuchana, rozstrzygać tego nie śmiemy. Dosyć że odtąd do zamku tego przywiązana jest piękna powieść, o pewnym młodym rozlartanym księciu, który raz zapatryw-

swoje osadzie nadało.

Bądź co bądź, *Iłza* jako miasto była odwieczną własnością biskupów krakowskich, którzy pięknoscą miejsca zachęćeni, wystawili sobie tutaj na górze letnią rezydencją i w niej niekiedy mieszkali. W roku 1244, gdy Tatarzy mieczem i pożogą kraj pustoszyli, miasto i zamek *Iłza* zostały przez nich zniszczone, z którego to powodu utworzyło się powszechne mniemanie, iż krwawa ich wycieczka w te strony uwieczniona została w nazwiskach drogi Batego, nadanych gościńcowi przez który owe hordy ciągnęły i jednej z ulic w *Iłży* zwaną Batowską.

Tu znowu krytyka ma dużo do powiedzenia i musi być przeciwną nawet powadze Długosza, opisującego wyprawę Batego do *Iłży*; bo są dowody, o czem już Kromer w XVI wieku napomknął, iż wódz ten, w owym czasie w Węgrzech wojując, nigdy w Polsce nie był. Przypuszczenie zaś Naruszewicza, że pomimo tego łącznie droga ta nazwisko jego wziąć mogła, bo był wyprawą całej powszechnym i najwyższym wodzem, a nawet twierdzenie Czackiego, który powiada że gdy zwidzał te miejsca, jeszcze gmin wspominał o drodze Batego i o jego okrucieństwach,—

wszystko to pod zimnym probierzem krytyki utrzymać się nie może. Prawda że lud miejscowy kopiec za miastem stojący zowie dotąd tatarskim i utrzymuje iż za napadu Tatarów tyle zginęło tutejszych mieszkańców, że się aż ten kopiec utworzył, gdy ich złożono na stos jeden i przysypiano ziemią; bezzasadność atoli tego podania już dostatecznie wykazano, gdy przed kilkunastu laty kopiec był rozkopany i przekonano się, iż należy do rodzaju nasypów zwanych grodziskami, z czasów pogańskich, jakich wiele w naszym kraju się znajduje. Niewątpliwie przeto i Czacki nie słyszał między gminem imienia Batego; powiadano mu tylko to, co dotąd prawią o kopcu, i dodano że droga wedle kopca idąca zwała się niegdyś badowska, bo tak ją i najdawniejsze archiwalne źródła miejscowe mianują. Jeden zaś z dokumentów kościoła parafialnego w Iłży z r. 1759, przywiedziony przez ks. Gackiego w jego wybornej wiadomości o Iłży (Pamięt. relig. 1854 r.), mówi o łączce proboszczowskiej przy ulicy badowskiej. A że był na Iłży także pałanek gruntu badowski, to więc wskazuje, iż miano tak gruntu i ulicy, jak drogi, raczej od miejscowego Ławiska, a nie od imienia tatarskiego wodza należy wyprowadzać.



KRZYŻ KAMIENNY NA ROZDROŻU W POWIECIE MOHYLOWSKIM. (Rysował na drzewie Fabiański, podług szkicu F. Mierzwińskiego).

Ale Długoszowi zdało się inaczej, a za nim poszli drudzy, choć dobrze wiedzieli że Baty nie powstał w Polsce. Zawsze jednak pewną jest rzeczą, że ponieważ zagony Tatarów za obudwu ich pierwszych najazdów; w latach 1241 i 1260, sięgnęły niedalekiego

go królowa Anna czekała; dalej w roku 1424, gdy wróciwszy z Litwy do Krakowa, na koronację ostatniej swjej żony pospieszał; wreszcie w r. 1432, gdy opuściwszy Jedlnię, przez Iłżę do klasztoru świętokrzyskiego przybył. W zamku iłżeckim tenże monar-

zął Skaryszowa, przeto niezawodnie i Iłża od nich ucierpiała, i być może iż uległszy wówczas zniszczeniu, pobudowała się na posadzie dzisiejszej pod górą, na której już stał zamek biskupi.

Tak więc od niepaństwanych czasów na szczycie wysokiej stromej wapiennej góry ponad miastem, wznosił się najprzód drewniany, a później murowany wspinały zamek biskupów krakowskich. Zmurował go pierwszy Jan Grot biskup w r. 1342, we 30 lat później wzmacnił Florjan Mokrzycki, Jan Kornarski na początku XVI wieku po pogorzeli odnowił, Filip Padniewski w r. 1560 przyzdobił, a biskup Marcin Szyszkowski w r. 1618 rozprzestrzenił i dogodniej urządził. W jego to murach gościł Władysław Jagiełło raz w roku 1440, gdy po odbytych zapustach w Jedlni przez Iłżę i Opatów odprowadzał do Sandomierza hrabiego cylijskiego Hermana, stryjecznego brata swjej małżonki; powtórnie w roku 1444, gdy ruszywszy z Jedlni, dążył przez Iłżę i Kunów do Opatowa, gdzie na nie-



NIEDŹWIEDNICY UKRAIŃSCY. (Rysował z natury Przyszychowski).

cha bawił w roku 1420; tu słuchał poselstwa jakie cesarz Zygmunt przysłał z Wrocławia w sprawie Polski i Krzyżaków i ztąd do niego od siebie w téj sprawie Wojciecha Jastrzębca biskupa krakowskiego wyprawił. Tu bawił król Zygmunt I w r. 1511; zaś Zygmunt III, gdy po bitwie guzowskiej w r. 1607 rozłożył obóz pod Hżą, trzy dni w zamku gościł i ztąd udał się do Św. krzyża, na podziękowanie Bogu za zwycięstwo z tak małym krwią rozlewem otrzymane.

W ilżeckim zamku dnia 6 września 1637 Cecylia Renata arcyksiężniczka austriacka, jadąca z Wiednia do Warszawy, spoczęła, i tu ją po raz pierwszy ujrzał król Władysław IV, który niecierpliwie oglądać przyszłą towarzyszkę życia, przybył potajemnie na ilżecki zamek. Tam podczas ceremonii przedstawienia dostojników państwa, wsunął się w ich grono, a kiedy przyszła na niego kolej złożyć hołd księżniczce, zdradził się mimowolnie uściśnieniem ręki dziewczyny, która poznawszy przysłego swego władzę, wnet padła mu do nóg i całe incognito zniknęło, jak to naoczny świadek książę Albrecht Radziwiłł w swoich pamiętnikach opisuje.

Biskupi krakowscy, chociaż wszędzie prawie w obszernych swoich w tychże stronach dobrach mieli wspaniałe zamki, pałace i dwory, najczęściej w ilżeckim mieszkali, szczególnie kiedy wypadło przyjmować jaką znakomitą przejeżdżającą osobę. W tym zamku Filip Padniewski przez 3 i 4 grudnia 1563 r. zatrzymał nuncjusza Commendoniego, wyjechawszy wprzód z liczną jazdą na jego spotkanie aż za miasto, i tam z nadzwyczajną powiagą go okazał. Sławny biskup Montluc, popierający elekcją Henryka Walezyusza, wracał z Warszawy do Krakowa na Hżę w r. 1573 i bawił trzy dni u biskupa Krasińskiego. Kardynał Gaetano, jadąc do Warszawy w r. 1596, w celu skłonienia Zygmunta III do związku przeciw Turkom, przybył tutaj 15 września i przez biskupa Radziwiłła z całym orszakiem był hojnie podejmowany. Przesiadali w nim chętnie pasterze krakowscy Zadzik i Szyszkowski, i ztąd rozmaite rozporządzenia dla swój diecezji wydawali.

W roku 1636 Szwedzi w pierwszym na kraj napadzie według swego zwyczaju gmach ten spalili. Dźwignął go atoli z upadku w r. 1670 biskup Andrzej Trzebiecki. Następnie cząstkowych napraw dokonał biskup kardynał Lipski r. 1732, wewnątrz zaś wspaniałe odnowił Żałuski w roku 1750. Toż samo uczynił i biskup kajetan Sołtyk; ale już za niego zaczęło się ostateczne téj budowli zniszczenie. Jeden z oddziałów wojska ścigającego konfederatów barskich osiedlił się w zamku, przez co gmach wiele ucierpiał, a pustoszał coraz bardziej, gdy dóbr tych tradycja w długu nastąpiła. Po raz ostatni dano nad nim dach gontowy w roku 1782 i wymurowano na krańcu góry zamkowej od miasta dotąd stojącą kapliczkę. Gdy sejm 1788 r. dobra biskupów krakowskich przyłączył do dochodów narodowych, zamieszkiwali dzierżawcy część tylko zamku zwaną oficyną, a reszta pustkami stojąc, szła w ruinę. W następnym też roku już wewnątrz nie było zamknięcia, okien brakowało, posadzki i podłogi zgnyły, piece leżały porozwalane, słowem cały zamek stał opustoszały, a wieże i baszty w murach tak były słabe, że upadkiem groziły. Już wtedy na reperację swoje niezmiernych kosztów wymagał, użytku zaś nie przedstawiał prawie żadnego.

Według owoczesnej lustracji był on stawiany w wybornym gotyckim stylu, istotnie zaś we włoskim, jak o tém przekonywa jego plan dotąd przechowany; miał kształt cyrkułu podłużnego, a cały był z kamienia i cegły wymurowany. Dwiema wieżami, kwadratową od facy i na drugim końcu okrągłą, przyzdobiony, dzielił się na dwie kondygnacje, z których w dolnej sklepy, w górnej pokoje się zawierały; dach miał kryty, zasłonięty tak zwanymi incessatami czyli kornesami. Mieszkanie górne w zamku obejmowało salę pierwszą na wieży bramy zamkowej; dalej salę drugą, czyli izbę stołową; następnie był pokój pański, pokój drugi, antykamera jedna i druga, oraz garderoba. Z téj wstępowało się na wieżę okrągłą, gdzie po schodach kręconych dochodziło się do altany o siedmiu oknach, wedle której obiegał ganek krata żelazną obwieszony. Wierzchołek wieży nad altaną, równie jak sama altana, był białą blachą pokryty aż do modrzewiowego sżybra, na którym mieściła się brama miedziana z herbem Trzebieckiego. Zszedłszy z téj wieży, na zachód była antykamera kancelaryjska, pokoik, pokój, sala, kredens i kaplica. Ta nad bramą zamkową w wieży, krzyżową sztuką czterema ankrami żelaznymi w framugach opasana, malowana cała ze sklepieniem, a w niej ołtarz z herbem Żałuskiego. Pod pokojem były lochy ciemne i puště. Pokoje pańskie, kiedy jeszcze je zamieszkiwano, to jest w r. 1759, miały odrzwi z czarnego marmu-

ru, podłogę z tarcic, pułap malowany, listwy wokoło do przybijania obicia, piece gdańskie, przy nich kominy sztukatorską robotą staroswiecką, okien półcyrklowych po cztery. Wówczas w antykamerze drugiej była przyboczna biskupów kaplica, wedle której miał pokoik ksiądz spowiednik czyli kapelan zamkowy. Na dziedzińcu stały dwa skarbee i cztery sklepy; przy nich była studnia głęboka na łokci 100, wycembrowana ciosowym kamieniem, a od niej szły rynny pod zamek na pierwszy dziedziniec niżej leżący, na którym także znajdowała się inna studnia głęboka. Strzelnice w murach zamku i rejteraty do wycieczki służyły ku jego obronie. Wyruszywszy do bramy zamkowej, przebywało się most między dwoma murami. W murze ze strony miasta był belluard, z prawej zaś strony ręczne strzelnice. Następnie wjeżdżało się także po moście bramą jego zachodnią na pierwszy dziedziniec. Prócz niej były jeszcze koło pierwszego dziedzińca dwie inne osobno zmurowane bramy, północna i wschodnia, oraz dwie baszty, wszystkie połączone między sobą częścią murem, częścią parkanem. W dziedzińcu tym znajdowały się rezydencje starościńskie; w murach były strzelnice, dołem belluard niższy i rejteraty podziemne. W basztach okrągłych, od fundamentu z kamienia ciosowego pownoszonych, również strzelnice górą, a spodem więzienia.

Z dziedzińca tego wyjeżdżało się bramą wschodnią, przetoż ją wjeżdżną zwano. Za nią szedł jeszcze most nad fossą ku szańcowi, w którym zwód bywał, a za nim o kroków dwadzieścia stała brama drewniana; poczem wjeżdżało się stoczysto ku miastu. Bywała wjeżdżną i brama północna, lecz od dęszców nadruinowała się ze strony szańca. Podobnie ścieżka za tą bramą idąca do miasta od zamku bokiem góry, dylami wyłożona, przy której stały słupy wkopane z poręczami i schodami, poobrywała się z powodu oblegania góry, jak mówi lustracja. Ze wszystkich budowli na górze zamkowej stojących, zajmujących je na skarb kommissarze zastali w dobrym stanie tylko oficyny i budynek ekonomiczny.

W roku 1791 brama wschodnia z rezydencjami starościńskimi przez ogień zniszczoną została. Za rządu austriackiego w samym zamku mieścił się lazaret wojskowy. Gdy ten usunięto, Hżanie wyprzątnęli parę pokoi i w nich publiczne urządzili zabawy. Po jednej z takich zabaw przy muzyce całą noc trwającą, po rozejściu się zgromadzenia już wśród dnia, wybuchnął pożar, który rozszerzywszy się po komnatach, nie ze wszystkiem z ruchomości lazaretowej oczyszczonych, pochłonął bez ratunku wszystko co tylko zgorzeć mogło. Najbardziej żalowano wtedy portretów biskupich, które tam jeszcze się znajdowały. Z murów co nie rozspalało się w gruz, to wziął dzierżawca na zmurowanie karczmy pod górą zamkową. Dziś sama tylko owa okrągła zamkowa wieża, lecz bez wierzchołka, bez śladu dawniej altany, ściegła właśnie w miejscu, gdzie był w niej niegdys osadzony ganek, stoi na górze odosobniona, istny olbrzymi słup pomnikowy w dawniej siedzibie przeszłych panów tutejszego miejsca.

Dotąd jeszcze rozповідаją Hżanie o zamku, że gdy w kaplicy było nabożeństwo, to widziano w mieście odprawiającego mszę kapłana, kiedy zaś biskup obrządek święty sprawował, kłęczący lud w rynku go słuchał; że z tegoż rynku aż na zamek szedł kiedyś most równia pochyłą, po którym się tam wjeżdżało; że kaczka puszczana w studnię na zamku, wpływała na przyległe jezioro i tym podobne legendy. To wszakże pewna, że kapela co wieczór chodziła na ganek wieży zamkowej i tam odgrywała niektóre krótkie symfonie i hajnały, na podobieństwo krakowskich. Też same symfonie i dzisiaj muzykanci przy kościele w Hży utrzymywani wykonywają, gdy czas jest po temu, mianowicie w wigilię każdego odpustu i w przeddzień każdej zamówionej wotywy, które tu nigdy bez muzyki nie bywają. Jeżeli zaś ma być nazajutrz wotywa w tutejszych kościołach św. Ducha lub Panny Maryi, tedy po dziś dzień muzykanci udają się poprzedniego wieczora na górę i tam wykonywają tę samą symfonię, a zapytani co grają, odpowiadają że ganki; lecz dlaczego ją tak nazywają, już nie umieją wytłumaczyć.

Do redaktora Tygodnika Ilustrowanego.

Posyłam wam krzyż, jaki tu w poprzerzywanój jarami okolicy Podola, w powiatach kamienieckim, mohylowskim i nowo-uszycym, zwykle na rozdwojach stawiają włościanie. Cele zawsze jednakże: przebłaganie gniewu lub zjednanie łaski Najwyższego. Dotknięty gradobiciem, pomorem bydła, chorobą dzieci, żony lub własną, kmieć poczciwy robi *intencyę*, gromadzi środki

i wznosi godło wiary, ufny że Stwórca wynagrodzi mu to zaofiarowanie.

Materyału na krzyż dostarczają kamieniolomy, wydające cios wymieniony, a gęsto po Podolu rozsiane. To też z obfitości ciosu korzysta nasz chłop, i jak na Ukrainie kamienny, tak tu drewniany krzyż jest rzadkością. Koszt zwykły wynosi od 40—50 złp., rozumie się już z piedestalem, ustawieniem i t. d.

Rysunek ten robiłem z natury. Jadąc ze wsi Bielana do Popieluch, w mohylowskim powiecie, zatrzymałem się by obejrzeć *chrest*, którego niezwykła białość zdziwiła mnie. Złazę z bryczki, zbliżam się i widzę że przyczyną białości jest osmarowanie wapnem; znać że rzeźbiarz i architekt nie słuchali estetyki. Na krzyżu wyczytuję: krzyż ten postawił sługa Boży Wasyl Wescelenczuk—na ten krzyż obywatel Buszczyński dał trzy ruble. Chwytam ołówek, rysuję i szlę do was, cny redaktorze, bo i dzieło sztuki górniczej warte rozpowszechnienia, i napis, świadczący o dobrych stosunkach szlachty tutejszej z ludem, wymownie odpowiada na rozmaite gardłowania.

Fortunat Mierzwiński.

## NIEDŹWIEDNICY.

Zalączony tu rysunek jest obrazkiem rodzajowym, i przedstawia *niedźwiedników*, jacy do dziś dnia jeszcze waleśają się po Ukrainie. Przychodzą oni z gubernij: smoleńskiej, witebskiej i kurskiej. Niedźwiedzie które wodzą z sobą, ułożone są do pokazywania sztuk kilku, dość zresztą pospolitych i mogących interesować tylko lud wiejski. Przybycie niedźwiedników do wsi, ogłasza szczekanie psów, a grupa ludu jaka ich zwykle otacza, tworzy charakterystyczny obrazek.

Tadeusz Padalica.

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Jan Zacharyasiewicz i jego ostatnie powieści: *Złota góra*, *Falszywy król*, *Konfederat* i *Na kresach*.

Jeśli w niedawno tu umieszczonym przeglądzie utworów Łozińskiego, mieliśmy więcej na względzie poznanie czytelnika z jego powieściami, niż krytyczny ich rozbiór, gdyż autor, skończywszy swój ziemski i autorski zawód, nie mógłby korzystać z naszych uwag, a na uczynione zarzuty odpowiedzieć lub zbicie je zupełnie; za to, mając dziś mówić o drugim galicyjskim pisarzu, żadnymi względami nie widzimy się skrupowani, zwłaszcza iż p. Zacharyasiewicz zajął już tak piękne i zaszczytne miejsce w powieściopisarstwie polskiem, iż wszelkie rozbiory, choćby najostrejsze, byle poczciwą myślą kierowane, nietylko iż go dotknąć nie mogą, lecz owszem wykażą rzeczywisty jego talent, wpływając zarazem na dalszy rozwój jego autorskiego powołania. Nie mamy pretensji aby nasze słowa miały tak wielką doniosłość, ani też tu miejsce do obszernych krytycznych wywodów; ubezpieczamy się tylko, aby w naszym szczerze wypowiedzianem zdaniu nie dopatrywano jakiej stronności lub nieżyczliwości dla autora. Owszem, sympatyzując z nim w jego szlachetnych tendencjach, możemy się różnić tylko w zapatrywaniu na mniej lub więcej szczęśliwie wybraną i dokonaną formę.

Jan Zacharyasiewicz, jako powieściopisarz, dał się nam poznać już przed laty kilku, a szereg wydanych przez niego dzieł, jak: *Uczony*, *Sąsiedzi*, *Renata*, *Sierota wielkiego świata*, *Dwaj lutniści* i *Boże dziecię*, świadczy o stopniowym rozwijaniu się, i dojrzewaniu wrodzonego talentu.

W swoim czasie krytyka wypowiedziała zdanie o niektórych z tych powieści, wykazując ich dodatnią i ujemną stronę. Obecnie do najnowszych w księgarniach warszawskich zaliczają dwa utwory p. Zacharyasiewicza: *Złota góra* i t. d., oraz *Na kresach*; o nich więc kilka słów powiedzić chcemy.

*Złota góra*, wraz z *Falszywym królem* i *Konfederatem*, stanowi tomik o trzech powiastkach, napisanych w guście nowelli, które w Niemczech przed niedawnym czasem wielce upowszechnione były. *Złota góra* jest tu najdłuższym, a może i najlepszym utworem. Treścią jego jest prawda jak świat stara, nigdy jednak dosyć nie ceniona; dlatego począwszy od owiej wszystkim znaniej przypowieści o ojcu dającym synom pęk różg do złamania, a skończywszy na godle dukatowym, wszyscy wysławiamy potęgę jedności i zgody; a przecież zawsze i wszędzie, mianowicie też u nas, przeciwko niej co krok grzeszymy. Forma którą sobie autor wybrał do przeprowadzenia téj idei, jest prosta i naporczy bardzo łatwa; pozwalali jej sobie wielcy mistrzowie, gdyż zostawiając na stronie wszelkie teatralne efekta i stylowe błyskotki, w najnaturalniejszym tonie wypowiadali przesliczne rzeczy.



„mnienie o tym nadzwyczajnym człowieku, a on go nazwał Setonem, widocznie od nazwy miejscowości która do niego należała, przeto i my zostawimy mu to miano, chociaż co do nazwisk Setona tradycyjne kronikarzy ówczesnych dają nam w czem wybierać, zowią go bowiem raz *Sidon*, drugi raz *Scotus*, to znowu *Sitonius*, *Suthoneus*, *Suethonius*, *Seethonius*. Sam zaś Seton zwał się kosmopolita.

U Haussena więc, w małym miasteczku hollenderskim zwanym *Enkhuyzen*, zjawia się pierwszy raz Seton i tam kilka tygodni bawi. Przy odjeździe dnia 13 marca 1602 r., chcąc zostawić po sobie przyjacielski upominek swojemu gospodarzowi, Seton robi pierwszą swoją projekcją i za pomocą czerwonego proszku zmienia półfuntowy kawał ołowiu na takież wielkości kawał złota czystego. Wypadek ten dokładnie jest opisany w dziełach doktora Morhafa, który widział to złoto.

Seton udaje się do *Enkhuyzen*, do Amsterdamu i Rotterdamu, a ztamąd do Włoch. Wszędzie po drodze robi projekcje, tając swe nazwisko i krótko się zatrzymując na miejscu, zapewne z obawy żeby go nie śledzono. Bo niebezpiecznym było wówczas mieć opinię prawdziwego adepta, jak o tém przekonamy się bliżej z dalszego ciągu tego opowiadania.

Nie będziemy szli krok w krok za kosmopolitą, chociaż co chwila w tej podróży znajdujemy głośne świadectwa wysokiej jego wiedzy. Za pomocą tegoż samego proszku który mu służył do robienia złota, uzdrawiał on niebezpiecznie i śmiertelnie nawet chorych, i każdemu udzielając zasiłek, uważany był wszędzie za wyższą jakąś istotę; tajemnica zaś którą się otaczał, wzmacniała to mniemanie. Ponieważ w tym artykule głównie tylko transmucyja metalów nas obchodzi, przytoczymy więc w tej mierze kilka świadectw ludzi nie mogących być podejrzanymi o łatwowierność lub kłamstwo.

W powrocie z Włoch do Niemiec Seton podróżował przez Szwajcaryę.

W drodze spotkał się z professorem z Fryburga, doktorem *Wolfgangem Diennejmem*, znanym przeciwnikiem alchemii i alchemików.

Diennejm opisuje w następujący sposób to spotkanie. „W r. 1602, mówi on, w końcu lata, powracając

z Rzymu do Niemiec, znalazłem się w towarzystwie człowieka dziwnie rozumnego, małego wzrostu, dobrej tuszy, twarzy rumianej, temperamentu krwistego. Nosił on niewielką czarną brodę, podług mody francuskiej. Miał na sobie ubiór z czarnego atlasu, za całą zaś służbę lokaja, którego fizjonomia dość była odznaczająca się, miał bowiem włosy i brodę czerwone jak ogień. Ten człowiek nazywał się *Aleksander Sethonius* Ojczyzną jego była *Molia*, wyspa na oceanie. W Zurych, gdzie dano *Sethoniuszowi* list do doktora *Zwingera*(1), najaliśmy łódkę i udaliśmy się wodą do Bazylei. Kiedyśmy przybyli do tego miasta, mój towarzysz rzekł do mnie:

„Pamiętasz pan że przez całą podróż i na statku występowałem ciągle przeciwko alchemii i alchemikom. Pamiętasz także iż obiecałem dać mu odpowiedź nie za pomocą rozumowania, ale czynem. Otóż czekam na kogoś którego chcę przekonać razem z panem, ażeby przeciwnicy alchemii przestali wątpić o tej sztuce.“

Wkrótce zjawił się ów oczekiwany, a był to doktor *Zwinger*, którego znałem z widzenia i którego rodzina tyłu słynnych naturalistów liczy. Udaliśmy się wszyscy trzej do złotnika, niosąc tam pewną ilość ołowiu, który *Zwinger* zabrał z sobą z domu, tygiel, który sami kupiliśmy w sklepie i siarkę, którą również w drodze nabyliśmy. Żadnego z tych przedmiotów Seton nie dotknął się. Kazał rozpaść ogień, włożyć do tygla ołów pomieszany z siarką, przykryć, a nas tymczasem prosił, ażebyśmy przez otwory umyślnie do tego przyrządzone poruszali topniejący metal drążkami metalowymi. Przez cały ten czas

rozmawiał z nami najswobodniej.

Po kwadransie rzekł do nas:

— Rzućcie ten mały zwitek papierowy do roztopionego ołowiu, ale uważajcie dobrze: trzeba rzucić w sam środek, żeby nic się do ognia nie stoczyło.

W tym papierze znajdował się proszek dość ciężki, koloru żółto-cytrynowego, a proszku tego była tam zaledwie drobnitka szczypta.

(1) Znany i wielce sławny na swoje czasy doktor i profesor w Bazylei, także wielki nieprzyjaciel alchemii.

(Ob. Dod.)

## ILLUSTROWANE PRZYSŁOWIA.



(Układ i rysunek Pillatego.)

### NIE WSZYSTKO ZŁOTO CO SIĘ ŚWIECI.

Kędy się tęskny wzrok obróci,  
Wszędzie dostrzega życie nad stan;  
Niejeden skrycie piosnkę nuci:  
„Niech każdy myśli że jestem pan.“  
Lecz chociaż pieniąż marnie leci,  
A za nim nędza tuż bieży w ślad,  
Nie wszystko złoto co się świeci,  
Nie tak to łatwo oszukać świat.

Ów modniś popis ma na celu,  
Całej Warszawie rad w oczy wpaść,  
Prawi o księżnach, Boucquerelu,  
Nie wie jak nogi w wagnerce kłaść;  
Lecz choć niebacznych chwytą w sieci,  
Bez *Louis-Chabou* ani się rusz,  
Nie wszystko złoto co się świeci,  
Długów po uszy, komornik tuż.

Ta modna dama, patrz w welonie,  
Zębki jak perły, a pleć jak puch,  
Kapelusz strzelił ponad skronie,  
Czaruje wdziękiem postać i ruch:  
Lecz choć zajęcie czasem wznieci  
Kruczy blask włosów i świeżość lic,  
Nie wszystko złoto co się świeci,  
Wszystko przyprawne, własnego nic.

A ów u wielu w wielkiej cenie,  
Głową i sercem przesławny mąż;  
Miłość, braterstwo, poświęcenie  
Strzałem rotowym z ust rzuca wciąż.  
Lecz choć z ofiarą w ustach leci,  
Gdy go poświęceń zaskoczył dzień,  
Nie wszystko złoto co się świeci,  
Przepadł jak mara, zniknął jak cień.

Choć prawda czasem w oczy kole,  
Lecz prawdą tylko świat może stać;  
Przed światłem słońca pierzchną mole,  
Koniecznie siebie potrzeba znać.  
I czy to w szczęściu, czy w zamieci,  
Niech prawda blasków uczczy swych,  
Niech czyste złoto tylko świeci,  
A zgaśnie przy niem pozorze szych.

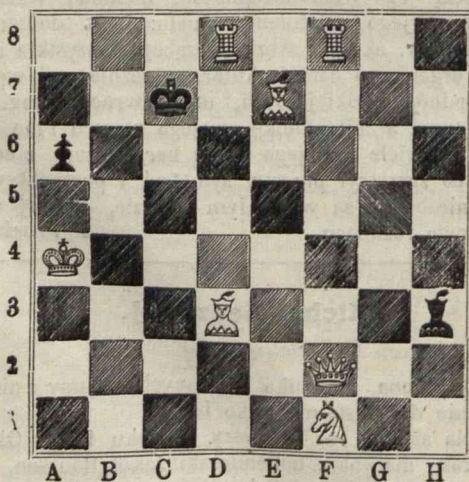
### SZACHY.

#### ZADANIE CX.

(*Józef Kohn ze Lwowa*).

Białe zaczynają i zmuszają czarne do dania sobie (białym) mata za ósmym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 109.

- | Białe.              | Czarne.     |
|---------------------|-------------|
| 1) C4 — C2          | 1) A4 — A2. |
| 2) D2 — F3          | 2) A2 — A1. |
| 3) F3 — D4          | 3) A4 — A2. |
| 4) D4 — E2          | 4) A2 — A1. |
| 5) E2 — C4          | 5) A3 — A2. |
| 6) C4 — B3 + i mat. |             |

### REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 138.

Dziesięciu zbrojnych u jednego nagiego nic nie weźmie.

(Dodatek.)

Chociaż niedowierzający jak sam św. Tomasz, uczyliśmy się jednakowoż co nam polecono.

Tygielek grzał się jeszcze przez kwadrans, a my ciągle masę w nim znajdującą się poruszaliśmy za pomocą pręcików żelaznych. Po kwadransie złotnik otrzymał polecenie przygaszenia ognia. Spojrzeliśmy w tygielek, ale nie było już w nim ani kawałka ołowiu, tylko złoto, złoto najczystsze, które według opinii złotnika przechodziło w dobroci gatunku złoto z Węgier i Arabii. Ważyło ono tyleż co ołów, którego całkiem zajęło miejsce. Kiedyś stali niemi z podziwienia i nie mogąc wierzyć własnym oczom, Seton rzekł do nas z lekkim uśmiechem:

— No? cóż teraz powiecie z waszemi uczonemi dowodzeniami? Widzicie prawdziwość faktu, a ona jest silniejszą niż wszystko, nawet niż wasze sofizmaty.

Wówczas kazał odciąć kawałek tego złota i dał go na pamiętkę Zwingerowi. Dał mnie także drugi kawałek, który ważył około czterech dukatów i który zachowałem na pamiętkę dnia tego.

Z Bazylei, gdzie Seton u złotnika Andrzeja Bletz jeszcze jedną uczynił projekcją, udał się on do Strasburga, i w tym mieście udzielił złotnikowi Filipowi Gustenhowerowi trochę swojego proszku, który stał się potem przyczyną zguby tej biednej sójki, co się w nie swoje ustroiła pióra(2).

Nie będziemy opisywali licznych doświadczeń jakie Seton robił po innych miastach niemieckich. Wszędzie udziela swojego proszku, zachowując tajemnicę co do jego składu, a nie działa sam, tylko przez ręce obcej osoby, najczęściej niedowiarka, którego chce przekonać o prawdziwości swojej sztuki. Proszku tego używa on bardzo małą ilość, zwykle połowę albo czwartą część grana, a przemieniwszy lichej metal w złoto, nie nie zachowując dla siebie, rozdaje je pomiędzy obecnych, w części jako upominek, a w części jako dowód. Następnie znika nagle, świadomy dobrze skutków jakie sprawić może dłuższy jego pobyt w miejscu gdzie dał dowody swojej umiejętności.

Pierwszy raz dopiero w Kolonii opuściła go ta roztropność.

Figuri tak opisuje pobyt Setona w tym mieście.

Seton, przybywszy do Kolonii, pobudzony może trochę wspomnieniami Alberta Wielkiego, Zacharyasza i Thurneyssera(3) żyjącymi tam w tradycji, zapragnął przede wszystkim zapoznać się z osobami trudniącymi się alchemią. Ów rudowłosy i rudobrody służebny jego Hamilton, którego fizygnomia tak się wraziła w pamięć w Bazylei doktorowi Dienheimowi, rozpoczął zaraz poszukiwania i natrafił najprzód na dystillatora(4). Ten wskazał Hamiltonowi jako alchemika-amatora, Antoniego Bordemana, u którego Seton zaraz najął mieszkanie. Przebywał tam miesiąc, i w tym przeciągu czasu Bordeman mógł mu już udzielić wszelkich żądanych wskazówek co do innych alchemików Kolonią zamieszkujących.

Ale ci amatorowie, których wyszukiwał tak znakomity adept jak Seton, niewarci byli tego zachodu. Najlepiej o stopniu powagi ich naukowej przekonać nas może zupełny dyskredyt, w jaki alchemia za ich sprawą popadła w mieście Zacharyasza. Stała się ona tam pośmiewiskiem, nie tylko ludzi oświeconych, ale nawet nieuków i głupców, tego *servum pecus*, zawsze gotowego dołączyć swój głos do nagany lub pochwały publicznej. Seton musiał więc walczyć w Kolonii przeciwko bardzo silnym uprzedzeniom, i postanowił użyć podstępów, żeby rozpocząć swoją propagandę hermetyczną.

Dnia 5 sierpnia 1603 r. jakiś cudzoziemiec wszedł do aptekarza Marshishera i zażądał *lapis lazuli*. Ponieważ kamienie które mu podobały mu się, przyrzeczono mu nazajutrz piękniejsze pokazać;

(2) Gustenhower robił z tym proszkiem publiczne projekcje, ale pragnąc uchodzić za adepta, dał do zrozumienia że ma sposób robienia kamienia mędrców. To go zgubiło. Rudolf II kazał mu się stawić przed sobą. Po kilku projekcjach, zapas proszku już był wyczerpany, a cesarz chciał złota, albo odkrycia tajemnicy. Po daremnem usiłowaniu ucieczki, Gustenhower z rozkazu cesarza zamknięty w wieży biały, zmarł tam po długoletnim wzięciu.

(3) Wszyscy trzej słynęli z posiadania kamienia mędrców. Albert Wielki, najslawniejszy uczony swojego wieku, uważany był za adepta w części dlatego, iż czerstwy do lat 87 doznał starości, w części iż żyjąc dostatnio i wiele tracąc w podróżach, zadłużone biskupstwu w trzech latach z długów oczyścił. Pisał wiele o alchemii. Zacharyasz, z którego pism najwięcej szczegółów o życiu prywatnym i różnych systematach alchemików czerpać można, zabity został w Kolonii przez swojego ucznia, który mu skradł kamień i z nim umknął. Thurneysser jak się zdaje prostym był oszustem; długo podróżował po Wschodzie. W kilkadziesiąt lat po jego śmierci przekonano się że gwóźdź żelazny do połowy przemieniony w złoto, który długo jako dowód jego umiejętności hermetycznej pokazywano, zrzęcznie tylko był złutowany.

(4) Wiadomo że sztuka robienia wódki była wówczas mało upowszechnioną, a więc dystillator każdy miał pewien rozgłos uczonoci.

(Dodatek do Nr 129 Tyg. Ilustr.)

kilka innych osób znajdowało się podówczas w sklepie, a pomiędzy niemi pewien stary aptekarz nazwiskiem Rajmond i ksiądz jakiś, którzy rozpoczęli rozmowę z kupującym o użytku tych kamieni. Jeden z nich twierdził że już byli tacy co próbowali nadaremnie robić złoto z *lapis lazuli*. Drugi dodał że wielu ludzi zajmuje się alchemią w Kolonii, ale że nikt jeszcze nie odkrył mniemanej tajemnicy robienia złota i zapewne też nikt jej nigdy nie odkryje. Każdy z obecnych podzielał to zdanie; sam tylko ów cudzoziemiec twierdził, że nie wszystko jest fałszem co stoi napisane w księgach hermetycznych, i że znaleźć się mogą ludzie zdolni o tém przekonać. Wszyscy obecni wybuchnęli głośnym śmiechem na to twierdzenie, a cudzoziemiec, dotknięty do żywego, wyszedł szybko ze sklepu.

Czytelnik zapewne już odgadł, że ów nabywca kamienia lazulowego i niewczesny obrońca alchemii, był to Seton. Wrócił do domu w wielkim gniewie; ale poczciwy Bordeman pocieszył go jak mógł i namówił do wykonania czempredż jakiegoś doświadczenia, którego skutek nakazałby milczenie wysmiewaczom.

Nazajutrz Seton powrócił do aptekarza, zapłacił za nowe *lapis lazuli* które mu dostarczono i zażądał szkła antymonowego. Gdy mu je podano, zaczął objawiać wątpliwość co do dobroci gatunku i oświadczył chęć przekonania się samemu przez doświadczenie, czy to szkło antymonowe zdolne jest oprzeć się działaniu gwałtownego ognia. Żeby uczynić zadość temu żądaniu, aptekarz kazał swojemu synowi poprowadzić Setona do pracowni złotnika Jana Lohndorfa, istniejącej w bliskości kościoła św. Wawrzyńca. Złotnik włożył szkło antymonowe do tygielka, pod którym rozpalił ogień. Przez ten czas Seton wyjął z kieszeni papier w którym znajdował się proszek i rozdzielił go na dwie części ostrzem noża. Następnie prosił złotnika, żeby jedną z tych połówek rzucił na szkło antymonowe już roztopione. Po kilku minutach złotnik wyciąga tygielek z ognia i znajduje w nim kulkę złotą. Syn aptekarza, złotnik, dwóch czeladników i sąsiad jakiś, byli świadkami transmutacji, która tém cudowniejszą się wydała, że Seton ani tygielka, ani szkła antymonowego nie brał do ręki.

Jednakowoż złotnik nie uważał się jeszcze za przekonanego. Majster Lohndorf był jednym z tych ludzi, którzy z góry przeczą wszystkiemu czego nie rozumieją, i którym zbyt dobrze się z tém dzieje, żeby od tej zasady mieli odstępować. Wniósł więc żeby z drugą połową proszku zrobić drugie doświadczenie, w którymby ołów mógł być użyty zamiast szkła antymonowego, a zarazem losliwy złotnik wsunął ukradkiem do tygielka kawałek cynku, który, jak wiadomo, jest metalem bardzo kruchym i nieciąglym.

Dopelnivszy tego podstępu, podczas kiedy w tygielku metal się topił, Lohndorf z radością zacierał ręce, ciesząc się z góry wystydem jaki spotka adepta. Ale radość jego była przedwczesną, bo i tym razem jak pierwój, po wrzuceniu proszku, znalazło się w tygielku złoto, i to złoto bardzo ciągle i giętkie.

Można sobie wystawić jaką dumą i tryumfem przejęty był Bordeman, dowiedziawszy się o tém. Nie on to wprowadził był owym artystą-mścicielem, który wystydem okrył niedowiarków, ale on go przyjmował w gościnie. Sam będąc alchemikiem i nielepszym od innych znajdujących się w Kolonii, znieść musiał sporą dozę żartów i wysmiewań, któremi tam obsypywano alchemików przed przybyciem cudzoziemca; miał przeto prawo pysznić się z gościnności wyrządzonej człowiekowi, który rehabilitując sztukę, rehabilitował zarazem i pracowników. Skutkiem to więc niewątpliwie namowy swojego gospodarza, Seton zapragnął poprobować się z niedowiarkiem daleko niebezpieczniejszym od tych wszystkich, z którymi miał dotąd do czynienia w Niemczech.

W Katmenbach(?) mieszkał chirurg zwany majster Jerzy, człowiek bardzo uczony, którego opinie naukowe szanowano wszędzie, a który oddawna ogłosił się najzawziętym przeciwnikiem alchemii. Nie był to przeciwnik w rodzaju majstra Lohndorfa, ale surowy postzegacz, niczem niewzruszony badacz i nie chciał ani słyszeć o doświadczeniach podobnego rodzaju. Nasz adept więc uważał za konieczne użyć niewinnego podstępu, żeby przystąpić do rzeczy.

Dnia 11 sierpnia 1603 r. Seton i majster Jerzy zeszli się z sobą pod zmyślnym pozorem konferencji lekarskiej. Rzeczywiście mówiono na tej konferencji tylko o medycynie i anatomii. Seton pytał się chirurga, czyli zna nowy sposób niszczenia dzikiego mięsa, twierdząc iż posiada sposób odjęcia go, chociażby dochodziło aż do kości, a to bez naruszenia nerwów. Majster Jerzy wyraził chęć przyjrzenia się operacji tego rodzaju.

— Nic łatwiejszego, odrzekł Seton, chciej mi pan tylko wystarać się o ołów, siarkę i tygielek.

Natychmiast cyrulik majstra Jerzego poszedł po te trzy przedmioty i wrócił z niemi. Ale potrzeba jeszcze było do operacji piecyka i mieszka. Nie miano tych przedmiotów pod ręką, i majster Jerzy zaproponował, żeby uskutecznić robotę u Hansa von Kempen złotnika, który mieszkał niedaleko złamtąd. Cyrulik udał się za nimi, niosąc tygielek i żądane ingrediencye.

Tak więc doktor niedowiarek został zgrabnie wciągnięty do pracowni złotnika. Hansa von Kempen nie było w domu, ale syn jego siedział nad robotą z czterema czeladnikami i uczniami. Podczas kiedy cyrulik rozkłada przedmioty które przyniósł z sobą, alchemik wchodzi w rozmowę z pracującymi i ofiaruje się nauczyć ich najłatwiejszego sposobu przemieniania żelaza w stal. Żeby dowiedzieć się o tym sposobie, jeden z czeladników idzie wyciągnąć z kąta stare złamane obcęgi, które na rozkaz Setona umieszcza w tyglu dobrze na ogniu rozgrzanym. W tej samej chwili cyrulik włożył ołów i siarkę do innego tygielka. Obydwaj pracują razem, dmuchają, rozżarzają ogień, podług zaleceń jakie daje Seton stojąc zdaleka od ognia. Nareszcie ten ostatni wyjmując z kieszeni kawałek papieru, zawierający odrobinkę czerwonego proszku, który dzieli na dwie części nożem. W chwili sposobnej rozkazuje wrzucić do każdego tygielka po połowie tego proszku, zalecając zarazem żeby dodano węgla i dmuchano mocniej. Po jakimś czasie zdejmują pokrywki i cyrulik wykrzykuje z największym zadziwieniem:

— Ołów przemienił się w złoto!

Jednocześnie i czeladnik woła także:

— Mój tygielek pełen jest złota!

Wydobywają z pośpiechem metal z tygielków, i złoto wystawione na wszystkie próby, wytrzymuje je najdokładniej. Czelnik przywołuje żonę złotnika, a ta, doświadczona w próbowaniu drogich metalów, poświadcza że to złoto i ofiaruje za nie natychmiast pieniądze. Wypadek ten rozgłasza się szybko, dom zaczyna napelniać się ciekawymi, a Seton uważa za rozropne usunąć się i wyprowadza z sobą chirurga.

— Więc toś mi pan chciał pokazać, rzekł majster Jerzy, skoro wyszli na ulicę.

— Tak jest, odpowiedział adept. Dowiedziałem się od mojego gospodarza, że jesteś pan nieubłaganym przeciwnikiem alchemii i chciałem cię przekonać niezbitym dowodem. W tenże sam sposób postąpiłem sobie w Rotterdamie, Amsterdamie, Strasburgu i Bazylei.

— Ale kochany panie, rzekł na to majster Jerzy, sądzę że jesteś bardzo nieroztropnym, działając tak otwarcie. Jeżeli kiedy książęta dowiedzą się o twoich operacjach, rozkażą cię poszukiwać i wsadzą do więzienia, dla dowiedzenia się o twój tajemnicy.

— Wiem o tém, odrzekł Seton; ale Kolonia jest miastem wolnym, i nie potrzebuję tu niczego obawiać się ze strony książąt. Zresztą, choćby się kiedy zdarzyło żebym się dostał w moc jakiego panującego, wolałbym wycierpieć tysiąc śmierci, aniżeli wyjawic choć jedno tylko słowo mojej tajemnicy.

I mówiąc to, adept pozostał chwilę milczący i zamysłony, jakby już przeczuwał w myśli barbarzyńskie męczarnie, jakich się miał stać ofiarą ze strony jednego z książąt niemieckich. Ale odpędzając od siebie to smutne wrażenie, dodał po chwili z zapalem:

— Niechaj żądają odemnie dowodów mojej sztuki: daję je każdemu. Mogę naprędce zrobić złota za pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt tysięcy dukatów.

Od tego dnia majster Jerzy został zupełnie nawróconym do alchemii i wierzył w nią, pomimo żartów przyjaciół i zarzutów nieprzyjaznych. Tym którzy litowali się nad nim że się dał złapać zręcznemu szarlatanowi, odpowiadał:

— To co widziałem, widziałem dobrze. To co czeladnicy Hansa von Kempen działali sami w przytomności świadków, nie jest snem wcale. Złoto, którego część mogę każdemu pokazać, nie jest złudzeniem, a wolę wierzyć moim własnym oczom, aniżeli gadaniom niedorzecznym.

Tym zaś którzy obwiniali go iż dał się przekupić, ażeby świadczyć za alchemią, nie raczył nawet odpowiadać. Ustalona jego reputacja wyższą była nad zarzuty tego rodzaju.

To głośne nawrócenie wywarło silny wpływ na całą ludność tamtejszą, usposabiając ją dobrze dla alchemików. Ale alchemicy kolonscy nie zyskali na tém ani więcej nauki, ani wiedzy. Kiedy po jednym jeszcze doświadczeniu odbytym przez Setona, w którym za pomocą niecałego grana proszku, przemienił sześć uncji ołowiu na złoto, Bordemann ośmielił się zapytać go dlaczego użył merkuryusza zamiast siarki.

— Czynie to, odpowiedział adept, dla przekonania

nieumiejętnych, że wszystkie jakiegobądź metale mogą być uszlachetnione. Ale nie zapominaj o tem, mój przyjacielu, że niewolno mi wyjawiać działań zasadniczych moich operacyj. (5)

Nie będziemy tu przytaczali licznych przemian, których Seton dokonał w Hamburgu, dokąd się udał z Kolonii; ale wspomnieć nie zawadzi o jednym jeszcze fakcie, który nazwisku Setona wielki nadał rozgłos i silnie wpłynął na rozbudzenie wiary w praktyki alchemiczne.

W Haelmstädt znajdował się professor filozofii nazwiskiem Cornelius Martini, słynny z zaciekłych wystąpień przeciwko alchemii. Otóż pewnego dnia, kiedy zacy profesor, otoczony mnóstwem uczniów, mówiąc z katedry więcej niż zwykle zapalił się przeciw fałszowi i złudzie nauk hermetycznych, wszedł do sali nieznanego gościa, który prosił Martiniego, ażeby przeciwko jego twierdzeniu mógł wystąpić. Martini zezwolił na to, a nie mogąc się utrzymać przeciwko argumentom nieznanego, zakończył dyskusję, twierdząc że słowa jeszcze nigdy niczego nie dowiodły. Wówczas nieznanemu poprosił, ażeby mu przyniesiono piecyk, tygielek i kawałek ołowiu, i przy wszystkich słuchaczach zamienił ołów na złoto, które wręczając ośpuściłemu profesorowi, rzekł doń:

*Solve mihi hunc syllogismum.*

Nieznanym tym był Seton.

Doświadczenie to dotyla wpłynęło na zmianę opinii szanownego profesora, że w swoim traktacie logiki wkrótce potem wydanym mówi:

„Nie będę tu zaprzeczał prawdziwie nauki alchemii, bo nie chcę odrzucać świadectwa tylu uczonych i rozumnych ludzi, którzy widzieli na własne oczy uszlachetnianie metali, a nawet sami odbywali doświadczenia; kłamstwo tutaj byłoby szaleństwem, zwłaszcza ze strony profesora filozofii.“

Tu następuje w życiu Setona zmiana, która nie mało wpłynęła na dalsze jego losy.

W Mnichowie, dokąd się udał w dalszym ciągu swęj podróży, nie słycać już o żadnej projekcji przez niego zrobionej. A jednak kosmopolita bawił tam parę miesięcy; tylko że na innego zupełnie rodzaju zajęciu strawił ten przeciąg czasu.

O płci niewieścia! o kobięto! czegoż ty nie dokazesz?

Kto z tobą myślą i uczuciem zbratan,  
Ten ci pod nogi wiedzy rzucił godła;  
Jeśli kobietę w raju skusił szatan,  
Toż potem w stokroć aniołów uwiodła.

Nie więc dziwnego że kosmopolita, który pomimo ogromnej wiedzy nie był jednak aniołem, nie potrafił się oprzeć pokusie.

Zwycięztwa tego nad słynnym alchemistą dokazała piękna Bawarka.

Ze piękna, to nam kroniki dostatecznie przekazały, że Bawarka, o tem możnaby wątpić, sądząc przynajmniej z nazwiska, które coś na słowiańskie zakrawa. Nazywała się ona bowiem, podług najwiarogodniejszych podań, Teresa Rokosz. Ale i to nazwisko nie jest pewnym, o tę bowiem Helenę alchemii upomniało się później, jak o Homera, kilka rodzin; zdaje się jednak najpodobniejszemu do prawdy, że była ona córką mieszkanki Mnichowa, Adama Rokosza.

Bądź co bądź, widzimy kosmopolitę ujeżdżającego z pośpiechem z Mnichowa wraz z tą Teresą, z którą wziął ślub tajemny. A musiał się w nią kochać szalenie, bo przybywszy do Krosna (Crossen), gdzie się wówczas dwór saski znajdował, cały nią zajęty, ani myślał o transmutacjach i walkach z niedowiarstwem. Żył sobie tedy w zaciszu domowem, wygodnie, wystawnie nawet, mało z kim się zadając; zwracał jednak na siebie ogólną uwagę tem, że lecząc darmo a zawsze szczęśliwie ubogich, obdarzał ich jeszcze hojną jałmużną w złocie.

To ściągnęło na niego uwagę elektora Chrystyana II, który już zkadinał słycał o nim.

Elektor zażądał próby umiejętności kosmopolity; ale ten tak był zajęty młodą żoną, że zapomniał dla niej o missy jaką na siebie przyjął, i w zastępstwie swem posłał do elektora ze szczytą kamienia mędrców służącego Hamiltona, o którym już powyżej wspominaliśmy.

Doświadczenie odbyte przez Hamiltona w obec elektora i całego dworu udało się najzupełniej: zrobione złoto wytrzymało wszelkie próby. Naturalnie ze skutek ten bardziej jeszcze rozciekawiał i rozłakomił księcia. Setonowi należało uciekać, ale widocznie pani Teresa nie chciała opuszczać miasta, gdzie jej było dobrze, gdzie się bawiła i miała nawet nadzieję dostać się do dworu. Kosmopolita więc pozostał; ale

ładny Hamilton, nie mając żony któraby go zatrzymywała, zmiarkował pismo nosem i zemknął bez śladu, a nawet od tego czasu zupełnie glucho o nim w historii.

Tymczasem elektor zaprosił Setona do zamku swego Georgenburga w bliskości Drezna, i temu zaproszeniu nie mógł już alchemik odmówić. W przytomności elektora i całego domu zrobił on kilka zadziwiających przemian, i wtedy to Sędziwój miał sposobność przypatrzeć się działaniom tego nadzwyczajnego człowieka. Zajęty i rozciekawiony, zapragnął poznać się bliżej z Setonem, i kiedy dwór z Georgenburga przeniósł się do Drezna, zaczął go odwiedzać, zaprzyjaźnił się z nim i codziennym stał się u niego gościem.

Zdaje się że już wtenczas, oprócz nauki, i piękna Teresa była przyczyną tak częstych odwiedzin pana Michała.

Seton podarował był elektorowi drobną ilość swego proszku; ale to wcale nie zadowoliło chciwości tego ostatniego. On żądał koniecznie wyjaśnienia tajemnicy robienia tynktury, i tę tajemnicę starał się wszelkimi sposobami od kosmopolity wyłudzić.

Nic jednak nie pomogły ofiary, przyrzeczenia: Seton, pomimo zaszczytów które mu ofiarowano, pomimo wszelkich środków przymilenia się jakich względem niego użyto, pozostał niewzruszonym w zachowaniu swęj tajemnicy. Nareszcie elektor, rozgniewany, widząc że żadną miarą łagodnymi środkami nie dojdzie do celu, kazał kosmopolitę wtargnąć do więzienia.

Kiedy więzienie i groźby nic nie pomogły, przystąpiono do tortur, które wszędzie były wtedy *ultima ratio*. Wymyślano więc najstraszniejsze rodzaje tortur, jakie tylko podówczas były w użyciu: rwano członki Setona obęgami żelaznymi, ciągniono je szrubami, pieczono rozpalonym żelazem. Ponieważ młody i silny organizm pacjenta wiele mógł wytrzymać, dawszy mu kilka dni odpoczynku, powtarzano próby; aż nareszcie ciało adepta wycieńczone i pokaleczone, członki połamane i opuchnięte, skóra porwana, zeschnięta i spalona, nie dawały już mu wcale podobieństwa do stworzenia ludzkiego. Niewzruszona jednak stałość Setona oparła się tym wszystkim męczarniom; duch w tym człowieku tak był silny, że w najstraszniejszych torturach jęku nawet nie wydawał.

Teraz dopiero elektor opatrzył się i namyślił, że postępując dłużej w ten sposób, przyprawi alchemika o śmierć niezawodną, a z nim razem i tajemnicę jego zaginie. Postanowił więc przekonać się czy przedłużone więzienie nie dokona tego, czego tortury sprawić nie mogły. Zasadzono Setona do ciemnego lochu, do którego wejście zostało każdemu wzbronione, i oddano go pod straż czterdziestu brabantom z gwardyi elektorskiej, dzień i noc zmieniającym się.

Tymczasem Sędziwój pocieszał piękną Teresę i starał się wszelkimi sposobami, ale już na swój wyłączny rachunek, wydobyć od niej tajemnicę, której dochowanie stało się dla Setona przyczyną takich męczarni. Ale żona kosmopolity, jakkolwiek nie odpychała w zupełności pociech urodziwego Polaka, nie mogła jednak, pomimo najlepszej chęci, wyjawić mu żądanej tajemnicy, gdyż sama nie wiedziała o niej. Pieniądzy zostawił jej Seton zaledwie tyle, ile na utrzymanie domu było potrzeba, o proszku zaś wiedziała wprawdzie że był gdzieś ukryty w miejscu bezpiecznym, ale nie znała tego miejsca.

Widząc niepowodzenie usiłowań swoich z tej strony, a w części może i przez zycielwość dla kosmopolity, (bo dla czegoż wszystko mamy przypisywać interesowi), Sędziwój zwrócił się do elektora i wniósł w niego że znajdzie sposób nakłonienia Setona do wydania mu tajemnicy, byleby tylko elektor dozwolił mu odwiedzić go w więzieniu bez świadków. Elektor, widząc że wszystkie inne usiłowania żadnego dotąd nie odniosły skutku, a mając ufność w Sędziwoju, jako w człowieku rozumnym i zręcznym, zezwolił na to.

— Czy będziesz mi wdzięcznym, zapytał Sędziwój, znalazłszy się sam na sam z Setonem, jeżeli potrafisz cię uwolnić z rąk twoich oprawców?

— Jak rozumiesz wdzięczność? zagadnął nawzajem kosmopolita.

— Czy wtajemniczysz mnie w swoją mądrość? czy udzielisz mi swęj wiedzy?

— Mądrość człowiek sam przez się zdobywać musi; wiedza zaś nadana przez drugich nie jest wiedzą. Lecz jeżeli pragniesz dostatków, mogę cię uczynić tak bogatym, że najpiérwsi władcy świata będą ci zażdrościli.

Sędziwój przystał na warunek.

Ale na uwolnienie Setona z więzienia potrzeba by-

ło pieniędzy; Sędziwój zaś, jak to powiedzieliśmy, gonit ostatkami summ jakie z Polski wywiózł. Z drugiej strony Seton, ukrywając swęj tynkturę w miejscu bezpiecznym, do którego on sam tylko mógł znaleźć przystęp, nie chciał tajemnicy tego ukrycia wyjawiać Sędziwojowi. Po namyśle jednak stanęła ugoda. Sędziwój uprzędił księcia, że jest w trakcie nabycia tajemnicy, ale że dla doprowadzenia tej sprawy do pomyslnego skutku, na dwa tygodnie musi jechać do Krakowa. Na czas jednak swojej niebytności wyjednał lepsze obchodzenie się z Setonem.

Przybywszy do Krakowa, Sędziwój sprzedał dom, który mu w spadku po ojcu pozostał i z pieniędzmi z tej sprzedaży powrócił do Drezna.

Tam, mając wolny wstęp do więzienia Setona i rozrzucając hojnie pieniądze, tyle dokazał, że pewnego dnia przy pomocy służącego swego Jana Bodowskiego spoiwszy strażę, więźnia, niezdolnego poruszyć się, wyniósł nocą na swoich barkach i po wydobyciu ze wskazanego miejsca ukrytego zapasu tynktury, wraz z Setonem, żoną jego i służącym Bodowskim na przygotowanym uprzednio wozie wyjechał z Drezna.

Szczęśliwie, pomimo pogoni, przebywszy granicę, nasi wkrótce przybyli do Krakowa. Tam już było dla nich zupełne bezpieczeństwo.

Zwołano najcelniejszych lekarzów, ale Seton sam oświadczył, że niemoc jego nie jest do wyleczenia.

— Gdyby, rzekł, choroba moja była naturalną i wewnętrzną, tynktura którą posiadam wyleczyłaby mnie z niej niezawodnie i w krótkim czasie; ale zniszczony mój organizm i połamane członki nie mogą już być przywrócone do dawnego stanu za pomocą środków ludzkich, muszą spowodować śmierć. (6)

Nie mylił się kosmopolita w swojej wróżbie. Pomimo usilnych starań, po krótkim pobyciu w Krakowie widocznem się stało, że zbliża się ostatnia jego chwila. Sędziwój począł znowu nalegać o wyjawienie tajemnicy.

— Patrz, rzekł Seton, do jakiego stanu doprowadzony zostałem przez to własnie, zem stałe zachował milczenie. Musi być niewzruszonym przekonanie, którego więzienie i groźba śmierci nie potrafiły osłabić; musi być straszną przysięgą, do której złamania tortury zgnalić mnie nie mogły.

I umarł z milczeniem na ustach, z tajemnicą w sercu.

Ale przed śmiercią, wywiązując się z danego Sędziwojowi przyrzeczenia, podarował mu uncyą swego proszku. Był to już nieoceniony skarb; gdy bowiem jedna część kamienia mędrców, według zeznania samego Setona i czynionych doświadczeń, uszlachetniała 5,000 części metalu, uncyą ta wartą była, rachując na ówczesne pieniądze, około 120,000 talarów srebrnych.

Resztę swęj tynktury i część papierów, pozostał Seton w spadku żonie. Umarł ten dziwny człowiek w styczniu 1604 r. (7).

(6) Własne słowa Setona.

(7) Dziwne zrzędenie! Rok śmierci Setona (1604) naznaczony był przez Rosenkreuzę, założyciela sekty różokrzyżowców, jako rok odkrycia jego grobowca. I w tymże roku, w końcu miesiąca stycznia czy na początku lutego, odkryto rzeczywiście ów grobowiec, w którym zachowana była jedna z wielkich tajemnic wiedzy różokrzyżowców, to jest lampa wiecznie paląca się. Lampa ta stała w jaskini na stole marmurowym. Koło stołu siedział automat, rycerz w pełnej zbroi, z toporem w ręku. Posadzka w tej jaskini tak sztucznie była urządzona, że skoro ten co ją odkrył wszedł na pierwszą tafle od progu, rycerz podniósł się z miejsca; za postąpieniem na drugą tafle wznosił w górę topór; za jednym zaś jeszcze krokiem naprzód uczynionym uderzył toporem w lampę, która się roztrzaskała na najdrobniejsze kawałki. Tym sposobem tajemnica zatracona została nowo. Zdaje się że lampa owa dawała światło przez użycie nieznanych nam środków elektryczności. Tak przynajmniej domyślać się można ze współczesnych opisów, które twierdziły że były to promienie słońca zgęszczone i zachowane w urządzonej ku temu ezerwoarze(?) Zanim jednak owa lampa zniszczoną została, ci którzy odkryli jaskinię, zdołali rozpoznać niektóre przedmioty, i tak: była tam płyta z miedzi, ustawiona na ołtarzu z wrytym napisem następującym:

A † C R † C (\*) żyjący, zachowałem sobie za grób ten ekstrakt światła.

Dalęj cztery figury z podpisem pod każdą z nich. Pod pierwszą figurą był podpis: *Niema próżni*, pod drugą: *Jazmo prawa*, pod trzecią: *Wolność ewangelii*, pod czwartą: *Całkowita chwala Bogu*. Były tam jeszcze inne lampy, które także wkrótce zagasły, jakieś dzwónki, zwierciadła dziwnych kształtów i księgi. Ale ze wszystkich rzadkości najdziwniejszą była ta przepowiednia wryta na ścianie:

„Po sześciu dwudziestkach lat odkryty zostanie.“

I rzeczywiście śmierć Rosenkreuzę przypadła w r. 1484, a grobowiec jego odkryto w r. 1604, a więc podług przepowiedni. W tymże roku po pierwszą raz uorganizowane już i silne Towarzystwo różokrzyżowców daje wieść o sobie, jakby z pod ziemi wychodziło. Ciekawi czytelnicy mogą o tem wszystkim znaleźć bliższe szczegóły w dziełku *Fama fraternitatis Rosae Crucis*, wydanem w Frankfurcie nad Odrą w r. 1613.

(\*) A † C jest symbolem, którym różokrzyżowcy oznaczali założyciela swego Rozenkreuzę; R † C oznaczeniem zwykłym członków Towarzystwa.

(5) Theobald von Hohenlande *Historiae aliquot transmutationis metallicae*. Coloniae, 1604 r.

Powtarzamy że Sędziwój do owego czasu, to jest do śmierci Setona, był prawie zupełnie obcym naukom hermetycznym. Niemiecki wprawdzie jego biograf, (*Vita Sendigovii Poloni, nobilis baronis, breviter descripta a quodam Germano, olim ejus oratore, patrone vel causidico*) twierdzi że posiadając w spadku po ojcu, oprócz wspomnianego domu w Krakowie i majątności na pograniczu polski i Śląska, kopalnie ołowiu położone w województwie krakowskim, zyskał sobie już niemały rozgłos w sztuce tak użytecznej krajowi eksploatacji kopalni. Ale umiejętność ta, jak również przytoczona przez tegoż biografę sztuka farbowania materyj i dobierania nieznanych barw, w której podobno celował, niewielką jeszcze miały styczność z naukami alchemicznymi.

Dopiero po śmierci Setona widnieje w Sędziwoju myśl wywierowania się na znakomitego koryfeusza w sztuce hermetycznej. Wysoka miłość własna i niepohamowana żądza bogactw i błyszczenia, których nabral tułając się po dworach niemieckich, wskazywały mu kamień filozoficzny, jako jedyny i najpewniejszy środek dla ich zaspokojenia.

Pomiędzy Sędziwojem a żoną Setona zawiązały się stosunki, jak się zdaje miłosne, jeszcze za życia tego ostatniego. Po części więc ze skłonności serca, a po części z wyrachowania, (bo piękna wdowa odziedziczyła po kosmopolicie część jego papierów i resztki zapasu tynktury), Sędziwój pojął ją w małżeństwo. Zdawało mu się że tym sposobem stanie u kresu życzeń, bo zdwoił zapas kamienia mędrców, a w papierach spodziewał się wynaleźć wskazówki któreby go wprowadziły na trop wielkiego odkrycia. Myślał że potrafi zastąpić kosmopolitę w znaczeniu, w powadze, w sławie; tylko że pragnął użyć tej ogromnej władzy na cele czysto egoistyczne i światowe.

Ale omyliły go nadzieje. Nie posiadając wiedzy Setona, nie posiadał również wielkich przymiotów serca i ducha, które jedne mogą otoczyć człowieka blaskiem niespożytych. Wprawdzie ożenieniem się swoim powiększył zapas tynktury, w papierach jednak po Setonie pozostałych nie potrafił uczynić dla siebie zrozumiałymi przenośni i figur, w które zwykle adepci wielkiego dzieła osnuwają główne przepisy przez siebie podane. Zdawało mu się że wynalazł sposób jeżeli nie zrobienia samemu kamienia filozoficznego, to przynajmniej pomnożenia posiadanego już zapasu. Na próżne doświadczenia stracił tylko znaczną część drogocennej tynktury swojej, a ani kroku dalej nie posunął się na drodze odkrycia kamienia mędrców.

Postanowił więc korzystać z tego co miał, ale korzystać rozumnie, uchodząc za adepta i robiąc sobie sławę po świecie. Zaraz więc w Krakowie zaczął prowadzić zbytkowne i wystawne życie, sprzedając robione przez siebie złoto za pośrednictwem Żyda, którego znał Desnoyers i słyszał jego opowiadania. Pozostałe po Setonie rozproszone rozprawy pod tytułem *Dwanastu traktatów*, z dodatkiem *Dyalogu Merkurego z alchemikiem*, uporządkował i wydał wraz ze swojemi dodatkami w osobnym: dziele *Novum lumen chemicum cosmopolita*. Dzieło to rozeszło się niezadługo w dwóch czy trzech wydaniach w wielkiej ilości egzemplarzy, bo alchemicy poszukiwali je jako swoje *sanctum sanctorum*. Dom Sędziwoja stał się wkrótce schadzka osób znakomych i uczonych, a on w obecności wszystkich robił swoje projekcje, dozwalał każdemu oglądać tynkturę i przykładać ręki do doświadczeń. Jednak rozrzucając niby swój proszek, jak gdyby posiadał sposób ciągłego odnawiania go, w chwilach kiedy nie zachodziła potrzeba budzenia wrażeń i jednania sobie wielbicieli, używał go bardzo oszczędnie.

Wkrótce król Zygmunt III zapragnął sam poznać uczonego, o którym tak rozgłosna chodziła sława. Sędziwój stawiał się przed królem. W przytomności Zygmunta i licznej assystencji znakomych osób, przebrał on na złoto podaną sobie sztukę srebra, i doświadczeniem tem zjednął sobie wysoki szacunek króla i wszystkich co go otaczali. Wiadomo że skarb króla polskiego nie był wówczas w bardzo świetnym stanie. Niemiecki biograf twierdzi, że Zygmunt rachował na Sędziwoja iż go podratuje, ale musiał tylko ograniczyć się na naleganiach, bo w wolnym narodzie niepodobna było więzić lub wystawiać na tortury obywatela. Sędziwój czynił przyrzeczenia, ale uiszczenie ich odwlekał, bo działając tylko dla zyskania rozgłosu, nie myślał skarbu swojego trwonić na inny użytek.

W tych czasach cesarz Rudolf II, wielki przyjaciel alchemii, zażądał od Zygmunta żeby doń przysłał tyle słynnego męża. Król polski, żyjący w przyjaźni z Rudolfem, chętnie przychylił się do tego żądania, a Sędziwojowi, któremu szło o rozgłosną europejską sławę, trafił dobrą sposobność nadarzać. Alchemik nasz ruszył więc w podróż, aruszył z ogromnym przybo-

rem przepychu i wystawności. Puskę ze słoniowej kości zawierającą zapas tynktury, nosił zwykle na piersiach na złotym łańcuchu wspomniany już Jan Bodowski, ozdobiony szumnym tytułem marszałka dworu Sędziwoja. Ale największą część tej tynktury zamkniętą była w kryjówce urządzonej sztucznie w stopniu od powozu alchemisty. Sędziwój, nader łaskawie przyjęty przez cesarza, po obiedzie wystawnym, na który zaproszonych było mnóstwo uczonych niemieckich, obdarzył Rudolfa drobną ilością swojego proszku, za pomocą którego cesarz sam, na kominie we własnej komnacie, przemienił sztukę ołowiu na złoto, w obec wszystkich zebranych tam osób. Pomyślny skutek tej operacji tak ucieszył niemieckiego Hermesa, że w ścianie nad kominem na którym ona dopełniona została, kazał umieścić tablicę marmurową z następującym napisem:

Faciat hoc quispiam alius,  
Quod fecit Sendigovius polonus.

Więrsz był nieszczególny, ale fakt na zatwierdzenie którego został wyryty jest przekonywający. Tablica ta istniała jeszcze w zamku pragskim w r. 1740 i tam ją naoczni świadkowie widzieli. Dla większego jednak uczczenia nowego luminarza alchemii, Mardocheusz von Delle, nadworny poeta cesarski, ułożył na cześć Sędziwoja poemat, mogący służyć za wzór niedoświadczonej, napuszonej i niezrozumiałej wyrażenia. Cesarz ozdobił Sędziwoja tytułem nadwornego radcy i uczcił go przytę medalem do noszenia jak order na wstążce.

Tutaj nastęca się sposobność zauważania, jak dalece tytuł obywatela polskiego wzbudzał poszanowanie u monarchów europejskich. Nie brakło Rudolfowi na ochotę wydobyć z Sędziwoja szacownej tajemnicy, którą udawał że posiada, chociaż jak wiadomo, tyle ją znał co i sam Rudolf. Hermes niemiecki nie był wielkim skrupulatem pod tym względem. Domierał pod owe czasy w podziemiach zamku pragskiego nieszczęśny Gustenhover, (8) któremu proszek, także używany przez Setona, tak nieszczęśliwie posłużył; świeża była pamięć strasznej śmierci Edwarda Kelleja, (9) którego całą winą było to, że zrobiwszy kilka pomyślnych doświadczeń, także za pomocą nie swojej tynktury, nie mógł wyjawić tajemnicy, bo jej również nie znał; mógł więc i Sędziwój spodziewać się podobnegoż losu, odmawiając cesarzowi przychylenia się do jego życzeń. Ale tytuł szlachcica polskiego stał się dlań arką ocalenia, i cesarz nie śmiał podnieść ręki na mieszkańca sąsiedniego potężnego a przyjaznego mu narodu.

Nie dla wszystkich jednak ten tytuł był świętym. Pankowie swobodnie sobie żyjący wówczas po zamkach, niebardzo słuchali cesarza i nie oglądali się na jego przyjaciół. W powrocie z Pragi do Krakowa hrabia jakiś morawski, którego nam historia nazwiska nie przekazała, a który na zamku cesarskim był obecny przemianom przez Sędziwoja dokonywanym, zaszedł się na niego w lasach, rozgonił jego orszak i ująwszy złotego ptaszka, poprowadził na swój zamek, gdzie go, według tradycyi panów ówczesnych, do wieży zamknął, przyrzekając dopóty nie wypuścić, dopóki mu tajemnicy nie odkryje. Ale nie męczeński snadź koniec nieba przeznaczył Sędziwojowi. Ocalało go tym razem, że to nie on ale Bodowski nosił puszkę z proszkiem. Ten ostatni na zaszczyt imienia polskiego okazał się wierniejszym od Hamiltona Anglika i tyłu Niemców, którzy w biedzie opuszczali panów i mistrzów swoich. Za pomocą pieniędzy wszystko da się zrobić, a pieniądze Bodowskiemu nie brakło, znał bowiem użycie tynktury. Potrafił więc dostarczyć Sędziwojowi do więzienia pilnik, którym ten ostatni przepiłował kraty, a skręciwszy sznur z sukien, spuścił się po nim i w stroju ojca Adama dostał się do Bodowskiego, który na niego oczekiwał w umówionem miejscu.

Uwolniony się, Sędziwój zaskarżył hrabiego u cesarza. Rudolf srodze się rozgniewał, że postępek jakiego on sam nie śmiał się dopuścić, przyszedł na myśl drobnemu pankowi jego dworu i wydał rozporządzenie, którym obwieścił wszystkim książętom i hrabiom cesarstwa, że kiedy kogoś za zasługi cesarz mianuje swoim radcą tajnym, to nie na to ażeby nad nim lada właściciel zamczku znęcał się. Grożono z początku hrabiemu śmiercią, skończyło się jednak na znacznym wynagrodzeniu pieniężnym i na odstąpieniu

(8) Ob. wyżej.

(9) Anglik. Znalazł w starym grobie biskupim w Wallii dwie kule z kości słoniowej, z proszkiem czerwonym i białym. Robił liczne doświadczenia, udawał mistrza i marnował proszki swoje. Ogromną ilość pieniędzy rozrzucił. Uwieszony przez cesarza i napróżno reklamowany przez Elżbietę angielską, chcąc uciekać, złamał nogę. Zaprowadzony do więzienia, zmarł tam.

Sędziwojowi na własność dóbr Krawarz, na granicy Śląska i Polski położonych. Więc nie w spadku, jak wielu biografów mniema, ale jako wynagrodzenie za krzywdy doznane, Sędziwój dobra te otrzymał. To pewna, że stały się później jego ulubionym siedliskiem i że przekazał je w spadku jedynej córce, która mu pozostała z małżeństwa z wdową po Setonie.

Powróciwszy po takiej tryumfalnej podróży do Polski, obdarzony jeszcze w dodatku tytułem barona von Serichau, Sędziwój udał się z Krakowa do Warszawy, gdzie Zygmunt wówczas przebywał. Tu wyczerzył nasz alchemik uroczyste królowi polskiemu list od Rudolfa, w którym ten dziękował Zygmuntowi za przysłanie mu *najcenniejszego człowieka wieku*. Za powrotem jednak do kraju wyszły znów na wieńch dawniej czynione obietnice podreparowania finansów, zwłaszcza że tocząca się wówczas wojna szwedzka spełnienie tych obietnic niezbędnym czyniła. Ale w miarę jak przybywało Sędziwojowi chwały i zaszczytów, ubywało mu znacznie proszku, którym nad miarę szafował, żeby zadowolić wymagania życia niesłychanie kosztownego. Ciągłe doświadczenia i wertowanie rękopisów Setona, na nie się nie zdały, a z wielkim kosztem wystawione laboratorium przynosiło tylko wydatków, żadnej korzyści nie przynosząc.

Do Sędziwoja jednak najlepiej da się stosować przysłowie o nieprawych synach. Książę Fryderyk wirttembergski, pragnąc widzieć człowieka o którym w całych Niemczech najdziwniejsze wieści chodziły, napisał do Zygmunta list z prośbą o przysłanie mu Sędziwoja. Zygmunt, zawsze chętny w spełnianiu życzeń książąt niemieckich, zgodził się na to i w lecie roku 1605 Sędziwój udał się w drogę do Wirtembergu, jadąc dworno a powoli i zatrzymując się po znaczniejszych miastach dla robienia projekcji. Ale tym razem mistrz zostawiał obowiązki ten Bodowskiemu, i nie rozdarowywał złota zrobionego, ale udzielając z niego tylko próbki, resztę obracał na kosztą podróży. Wten sposób zjechał do Wirtembergu.

Tam przyjęty z niezmiernymi zaszczytami, Sędziwój chciał się ich okazać godnym, i w miejsce zapowiedzianej jednej projekcji, zrobił dwie. Zdziwienie i rozradowanie księcia nie miało miary. Nazwał Sędziwoja swoim krewnym i nadał mu jako lennictwo znaczne dobra Leiningen, kładąc tylko za warunek żeby alchemik nazawsze przy jego dworze pozostał. Warunek ten stał się Sędziwoja w nader trudnym położeniu, pojmował bowiem dobrze co ta łaska księcia znaczy i czego on w zamian od niego wymagać będzie.

Powiedzieliśmy że każdy książę musiał posiadać wówczas na swoim dworze przybocznego alchemika, który wraz z poetą i doktorem stanowił niezbędny komplet osób dworskich. Przy księciu Fryderyku usadowił się już, przed przybyciem jeszcze Sędziwoja, w tym tytule niejaki Mühlensfels, który dziwne losu przeżył koleje. Rzeczywiste jego nazwisko było Müller. Z powołania cyrulik, przeszedł następnie w służbę Daniela Rappolta wędrującego alchemika, a raczej szarlatana, u którego miał sposobność wyuczyć się różnych sztuk kuglarskich. Wędrując potem po Niemczech, okazywał zręczność swoją po różnych dworach, aż wreszcie przybył do cesarza Rudolfa, który mu pozwolił robić przed sobą doświadczenia, nie u siebie wprawdzie, ale u swojego nadwornego kamerdynera Jana Franka. Cesarz ubawił się zręcznością kuglarza; więc chociaż wiedział o oszukaństwie, obdarzył go pewną sumą pieniędzy, nadał mu tytuł pana von Mühlensfels i z tém od siebie wypuścił. Z takim zaleceniem Müller przybył do Stuttgardu, gdzie uzyskawszy łaski księcia Fryderyka, pozostał przy nim z tytułem alchemika nadwornego.

Dobrze to szło, dopóki nie przybył Sędziwój. Ale kiedy książę się przypatrywał skutkom prawdziwej tynktury, Mühlensfels poszedł w kąć z całym swoim kuglarstwem i położenie jego na dworze księcia stało się zagrożonem. Zręczna to jednak była sztuka: nie okazał Sędziwojowi żadnej nienawiści, owszem sam najgłośniej uwielbiał talent i naukę nowego adepta, nazywał go wszędzie swoim mistrzem i nie zaniedbał żadnej sposobności okazania mu czci swojej. Tym sposobem wkradł się szybko w zaufanie Sędziwoja, którego wygórowana miłość własna i próżność czyniły czułym na wszelkie pochlebstwa.

Młoda żona Mühlensfelsa słynęła z piękności i zalotności; zdaje się nawet że wdzięki jej miały niejaki udział w łaskach jakich szarlatan doznawał od księcia. Sędziwój, jak wiadomo wielki wielbiciel płci pięknej, został wkrótce ulowionym w sidła zręcznej Niemki: przez nią tedy pękła bomba.

W jednej ze schadzek miłosnych, Mühlensfelsowa ostrzegła Sędziwoja o wielkiem niebezpieczeństwie jakie mu grozi. Łaska Fryderyka jest tylko wyracho-

wanem udaniem; książę czyha na wolność, na życie nawet Sędziwoja; wszystko mu grozi: więzienie, tortury, śmierć, jeżeli nie zechce wydać tajemnicy. Cała nadzieja w ucieczce.

Sędziwój łatwo uwierzył; świeży przykład Setona tkwił mu w pamięci: postanowił uciekać. Sam więc, przebrany, udaje się manowcami ku granicy, zamierzając złączyć się w umówionym miejscu z Bodowskim i dwoma innymi służącymi, którzy w parę dni po nim mieli wyjechać.

Ale tym razem opuściła Sędziwoja zwykła przeczność. Nie powierzył puszki z tynkturą Bodowskiemu, ale dla większego bezpieczeństwa sam ją wiozł przy sobie. Za ledwie noc nadeszła, dwunastu konnych uzbrojonych otoczyło uchodzącego alchemika. Obrona była niepodobną. Odebrano Sędziwojowi pieniądze jakie miał przy sobie, medal Rudolfa II i mnóstwo kosztowności, pomiędzy zaś innymi przepaskę diamentową otaczającą jego kapelus, którą szacowano na sto tysięcy talarów, a co najgorsza puszkę z proszkiem setonowskim; jego zaś samego zaprowadzono do Kirchheim, zamku gdzie mieszkali Mühlenfels, i tam go wtrącono.

Zdziwiło księcia nagle zniknięcie adepta. Służący wypytani wiedzieli tylko o ucieczce, lecz nie o przytrzymaniu. Nie mogąc więc nic z nich wyciągnąć, Fryderyk obdarzył ich i wypuścił na wolność. Tymczasem Mühlenfels, wkradłszy się jeszcze bardziej w ufność swojego pana, potrafił mu wytłumaczyć że Sędziwój jest niewdzięcznikiem, o którym nie warto myśleć, i że on sam, podkradłszy trochę jego tajemnicę, potrafi teraz to samo co i on wykonać. Mógł to bezpiecznie przyrzekać, miał bowiem w swoim posiadaniu proszek z kradzieży pochodzący. Wkrótce więc zrobił parę projekcyj, któreimi ujęty książę, nadał mu tytuł swojego amtmana, a co więcej prawo własności owych dóbr Neidlingen, których posiadania Sędziwój, z powodu niewdzięczności księciu okazanej, stał się niegodnym. Otrzymałszy w darze dobra i zamek Mühlenfels, rozkazał tam przenieść Sędziwoja, który rok przeszło przebył w więzieniu.

Ale rzeczy nie mogły się tak skończyć. Zniknięcie Sędziwoja było nienaturalne, zanadto ten człowiek stał się głośnym w świecie, żeby ten wypadek nie miał uczynić wrażenia. Nie wiedziano wprawdzie co się stało z uczonym Polakiem, ale opinia publiczna w Niemczech czyniła księcia Fryderyka współnikiem Mühlenfelsa w zamachu przeciwko Sędziwojowi dokonany.

Tymczasem Bodowski wrócił do Polski. Tam żona Sędziwoja, dowiedziawszy się o więzieniu męża, udała się natychmiast z prośbą do króla, i Zygmunt posłał niezwłocznie do księcia Fryderyka notę ostrą i groźną, do cesarza zaś Rudolfa upomnienie, że na człowieku wolnym, mieszkańcu przyjaznego państwa, popelniony został gwałt.

Cesarz Rudolf rozgniewał się mocno. Już to po drugi raz jeden z panów jego imperium dopuszczał się takiego nadużycia władzy, i to jeszcze na obecnej osobie. Wyprawił więc umysłnego posłańca do Fryderyka, domagając się natychmiastowego wymiaru sprawiedliwości.

Tymczasem Mühlenfels, zmiarkowawszy że źle idą interesy, osadził ze jedyny dla niego sposób ratunku pozbyć się Sędziwoja. Zabić go nie śmiał, ale postanowił podać mu sposobność ucieczki, nie wątpiąc że z niej będzie korzystał. Dostarczono więc Sędziwojowi w więzieniu pilnik, a on, praktyk już w tej sztuce, przepiłował kratę, po prześcieradle spuścił się z okna i nareszcie po półtoraletnim więzieniu dostał się na wolność.

Ale tym razem nie było już Bodowskiego, ani puszki z tynkturą. W łachmanach, z torbą na plecach, z kijem w rękę, Sędziwój, zebrząc po drodze, dostał się do Augsburga, i tam dopiero znalazł oparcie u jakiegoś znajomego. Niedługo natrafił w tym mieście na Jana Kundlera, dawnego pokojowca księcia, który go znał na dworze. Od tego Kundlera dowiedziawszy się o prawdziwym stanie rzeczy, napisał zaraz do księcia z prośbą o wymiar sprawiedliwości i oddanie zabranych efektów. Zażalenie to spotkało się, na zgubę Mühlenfelsa, z notą króla polskiego i posłańcem Rudolfa. Mühlenfels, zagrożony torturami, wyznał całą prawdę, dawniejsze oszukaństwa i świeżą zdradę. Pomimo jednak najgorliwszych poszukiwań, tynktury już nie znalazł przy nim, przynajmniej książę w odpowiedzi daną cesarzowi i królowi polskiemu tak się tłumaczył. Powieszono Mühlenfelsa, według zwyczaju, na złoconej szubienicy, w złoconych sukniach, z tą tylko różnicą, że szubienica, dla przykładu i odznaczenia, była dwa razy wyższą od innych.

Książę wraz z tłumaczeniem się swoim oraz wiadomością o egzekucji Mühlenfelsa, odesłał cesarzowi zabrane przy Sędziwoju kosztowności, nie wyłączając owej sławnej przepaski dyamentowej. Puszki z tynkturą już tam nie było. Czy jednak Sędziwojowi zwrócone zostały te resztki ubiegłej jego świetności, o tém wiadomości nie mamy.

Te wypadki miały miejsce w r. 1607.

Zona i córki Sędziwoja w Krakowie nosiły po nim żalobę, a żyły z wspaniałomyślności króla, który im udzielał hojne wsparcie przez swojego kaznodzieję, znanego księdza Skarżę. Zygmunt przyjął Sędziwoja dobrze i w nadziei że teraz przynajmniej doczeka się tyle razy odwiekanego spełnienia przyrzeczeń, wyznaczył mu znaczną sumę tytułem wynagrodzenia i pensją roczną na rozpoczęcie prac. Ale kura znosząca złote jaja, uleciała już wraz z proszkiem który Mühlenfels ukradł. Podobno posiadał jeszcze Sędziwój, jak się później przekonamy, jakieś resztki Setonowskiego proszku, ale postanowił przechować je starannie, pracując ciągle z Bodowskim, który mu został wiernym, nad coraz nowymi doświadczeniami alchemicznymi. Doświadczenia te jednak nie udawały się wcale, przynosząc tylko koszt i stratę czasu, a nie posuwając go ani na krok na drodze odkrycia wielkiej tajemnicy.

Oto co o nim pisze Desnoyers, który znał wiele osób mających z nim styczność.

(Dokończenie nastąpi).

## KORRESPONDENCYA

### TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Z okolic nadbużańsko-drohickich d. 12 maja 1862 r.

*Fabryka w Dobrowoli, Towarzystwo dobroczynności i czytelnia w Bielsku.*

Zaczynam od prośby do redakcyi Tygodnika, o sprostowanie następującej ważnej pomyłki w korespondencyi mojej z Suwałk, zamieszczonej w przeczytanym w tej chwili Nrze 436 Tygodnika, a opisującej między innymi stan fabryk w Augustowskim. Wydrukowano: „Byłoby rzeczą pożądaną, aby upadające zakłady narzędzi rolniczych i wyrobów żelaznych w Sztabinie *dźwignąć* się mogły. Toż samo powiedzieć można o fabryce płócien w Dobrowoli.“ Można było słusznie nazwać upadającymi zakłady sztabińskie, ale nie można tegoż samego sprawiedliwie powiedzieć o fabryce w Dobrowoli, która nie jest w stanie upadku. W rękopiśmie korespondencyi, ile sobie przypominam, wyraziłem się tak: „zaś co do fabryki płótna w Dobrowoli, jest nadzieja że *coraz wzrastać* będzie.“ Nie o upadku zatem, ale o spodziewanym wzroście była tam mowa. Miałbym sobie w istocie do wyrzucenia, gdybym lekko a niesłusznie wyraził się o fabryce posiadającej imię w kraju i zagranicą, a której założyciel i właściciel, jak wiadomo, dostąpił niedawno zaszczytnego tytułu wice-prezydenta londyńskiego Towarzystwa zachęty przemysłu i sztuk. Pisząc list ten w podróży ze wsi, nie mam pod ręką dat, jakie chętnie przytoczyłbym na zaletę fabryki w Dobrowoli; odkładam więc to do późniejszego czasu.

Natomiast, korzystając z obecnej sposobności, domieszczać parę słów w innym przedmiocie z téjże podróży. W przejeździe przez miasto powiatowe Bielsk na Podlasiu, przekonałem się że w mieście tém od początku r. 1862 istnieje Towarzystwo dobroczynności i czytelnia.

Do założenia Towarzystwa był podstawą fundusz około złp. 13,000, jaki utworzył się z ofiar dobrowolnych zebranych w trzech ostatnich latach, a następnie przez wpływ z oddzielnego źródła (dawnego liwerunku) powiększony do sumy złp. 23,000. Członkowie - obywateli ziemscy i inni z powiatu, placą składkę bieżącą po złp. 66 gr. 20, a członkowie z miasta po złp. 33 gr. 10 rocznie. Rada czyli komitet Towarzystwa odbywa posiedzenia raz na miesiąc. Mają być urzędzone w Bielsku ochronka dla ubogich sierot, oraz szkoła, a nadto dom przytułku dla kalek i starców.

Czytelnia również ze składek utworzoną została. Członkami-założycielami są ci, którzy ofiarowali po złp. 33 gr. 10 w gotowiznie, lub złożyli ofiarę w książkach podobnej wartości. Komitet każdomiesięcznie sprawdza stan czytelnia i jej dochodów. Książki i czasopisma do mieszkania brane być mogą za opłatą po złp. 20 rocznie, lub złp. 4 gr. 20 miesięcznie. Zastaw wymagany jest tylko od osób bibliotekarzowi nieznanym. Z czytania w sali czytelnia korzystać może każ-

dy bezpłatnie. Opłata jednorazowa od pożyczania książki lub dzieła do domu wynosi gr. 10. Wypożyczenie ma miejsce na termin następujący: dla dzieła jednotomowego dni 10, 2-tomowego dni 15, 3-tomowego dni 20, a dalej 4, 5 i 6 tomowego dni 30. Dla dzieł treści naukowej termin podwójny. Kto nie zwraca na termin, płaci za pierwszy dzień przetrzymania grosz, za drugi dzień dwa grosze, za trzeci cztery, za czwarty ośm, za piąty szesnastcie i t. d. aż do dni 10. Mieści się czytelnia w domu szlachty przy kancelaryi marszałka powiatowego. Otwartą jest codziennie od godziny 3ej z południa do 8 wieczorem. Dotychczasowy jej dochód w pieniądżach wynosił złp. 2000; prócz tego znaczna ilość książek ofiarowaną została w darze. Korzystających z czytelnia za opłatą roczną lub miesięczną było około 45. Numerów bieżących czyli osób zgłaszających się po książki było około 300, a to nie licząc przychodzących codziennie dla korzystania z czytania w sali czytelnia. Znajdują się tu nietylko gazety i pisma czasowe, wychodzące w Warszawie i Wilnie, i nietylko znakomitszych autorów książki treści lepszej, ale w większej liczbie polowie i dzieła poważniejsze w przedmiotach historyi, prawa, ekonomii politycznej, nauk przyrodzonych i t. p.

Szczegóły powyższe o Towarzystwie dobroczynności i czytelnia w Bielsku może przydadzą się dla porównania z dążnościami podobnymi w innych okolicach kraju. Szczęść Boże naszym usiłowaniom Podlasiem dla dobra ogólnego!

Piękne w tutejszych stronach zasiewy, dość dobrze wróżąca praca i nadewszystko trzeźwość ludzi. Cudny maj! piękna wiosna!... J. W.

## DWA SŁOWA.

Dwa słowa mkną się z doczesnym życiem:  
To uwielbienie, tamto żal budzi;  
Jedno jest dzielnej duszy rozwiciem,  
Drugie pociechą słabnących ludzi.

„Ja chcę!“ to silnej woli oddźwiękiem,  
Zdobi palace, jak i poddasze—  
„Ja chciałbym,“ żal to tłumiony jękiem,  
Obydwa słowa—to życie nasze!

„Ja chcę!“ to złudzeń żelazne wieko,  
To wicher stepu chmurny i dziki,  
„Chciałbym,“ to wietrzyk mknący daleko,  
Mdlejącej gwiazdy blade promyki.

„Ja chcę!“ to słońca jasne promienie,  
To śmiałej myśli polot skrzydlaty,  
„Chciałbym,“ to więźnia ciche westchnienie,  
Gdy za żelazne spogląda kraty.

„Ja chcę!“ powtarza człowiek bez drżenia,  
Który już zwalczył przeciwne losy,  
„Chciałbym,“ to słabe echo marzenia,  
To dziecinne życzenia glosy.

„Ja chcę!“ to słowo bijące wroga,  
Co losy zwalcza, co światem wzrusza!—  
Lecz kiedy głos ten ma dojść do Boga,  
To wtenczas „chciałbym“ niech szepece dusza.

Albert W.

## KORRESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Ks. W. w *Zwoleniu*. Życzeniu pańskiemu abyśmy wyrazili swoje zdanie co do pisowni wyrazów cudzoziemskich zakończonych na *ya, ia*, chętnie uczynilibyśmy zadość; ale przedmiot ten wymagałby obszerniejszej rozprawy, która dla Tygodnika naszego byłaby może nie stosowną. Zresztą nie przypisujemy sobie dość grammatycznej powagi, aby osobne nasze zdanie na ogół wpływ wywrzeć miało. W braku ciał naukowych, które podjąłby mogły sprawę pisowni polskiej i trwale nadać jej podstawy, jedyną pod tym względem powagą są wnioski deputacyi b. Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie, i tych, jak mniemamy, trzymać się należy, aż do czasu gdy nowe, odpowiedniejsze naturze języka i postępowi nauki, zasady zostaną ułożone. Dlatego piszemy zawsze: *Hiszpania, filozofia, progressya*, nie zaś, jak to czynią niektórzy: *Hiszpan-ja, filozof-ja, progress-ja*; lubo nie przeczynimy z drugiej strony, że najracjonalniejszą pod względem naukowym jest pisownia: *Hiszpanija, filozofija, progressja*, jak o tém przekonywa drugi przypadek liczyb mnogiej: *progressyj* (jądro wyrazu) i utworzony z niego przymiotnik: *progressyjny*.

Panu A. J. w *Eabuniu*. Wiersh pod napisem „Chciałbym“ dowodzi rzeczywiście dobrych chęci, za któremi jednak wykonanie podjętych jeszcze nie może.